

# DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY
DLA MŁODZIEŻY

NR 2 i 3. PAŹDZIERNIK — LISTOPAD 1931. ROK VIII.

DZIŚ I JUTRO PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VIII. KRAKÓW, PAŹDZIERNIK i LISTOPAD 1931. NR. 2 i 3.

# WEZWANIE

Życie — jak potok: szumi, pieni się i rozpryskuje w miljonie przejawów.

Iście kalejdoskopowe tempo!

Trzeba chwytać nietylko wrażenia i uczucia, ale wprost migawkowe refleksy spostrzeżeń i śpieszyć się, śpieszyć, bo życie krótkie, trwa tylko chwilę...

Nie rozkładać go na raty, lecz garściami rwać i wchłaniać — aż do upicia, aż do przesytu!...

Oto hasło dzisiejszych dni, — wieku nie pary i elektryczności, ale łapania w locie powietrznych fal... szybowania na grzbietach obłoków...

Gorączkowe hasło życia, którego trwanie liczy się nie na lata i miesiące, lecz na godziny i minuty!

Ten pośpiech wkracza nawet w dziedzinę myśli i czynu...

Pośpiesznie załatwia się dzisiaj i rozstrzyga zagadnienia najpoważniejsze, społeczne, ekonomiczne, a nawet moralne; pośpiesznie tworzy się wielkie programy...

Niema czasu nic opracować, pogłębić, ześlizgują się wypadki po powierzchni...

A młodzież? — Czy i ją unosi i porywa ten wir, czy i ona śpieszy się, szerokim oddechem wszystko ogarnia i pełnię życia czuje w sobie?

Młodzież wciśnięta w tryby obowiązku, głucha i ślepa z konieczności na czar dźwięków i barw — przykuta do taczki szkolnych obowiązków... rozważa... myśli i... kuje.

„Młodości! orla twych lotów potęga, jako piorun twoje ramię!“

Gdzie jesteś młodzieży w tym tytanicznym wyścigu genjuszy?

Przytłoczona do jarzma nauki czyżbyś złożyła swą broń -- skrzydła nawet nie próbując lotu?

Lęk cię ogarnął, czy słabość przygniotła?

Czy nie odczuwasz twórczej siły młodości?

Nie rozpala cię entuzjazm i zapał do piękna i dobra, co serce pobudza do szybszego tempa?

Nie czujesz waru młodej krwi, co w żyłach rozpaloną lawą krąży?

Rozwiń do lotu skrzydła, uderz w surmy bojowe, a rozdzwoni się pieśń o Tyrteuszowych dźwiękach... co rozgrzeje i porwie...

Tyś jak stare wino — mocna i upajająca — młodości! *ZEW.*

# *Jeszcze to słońce swe uśmiechy kładzie...*

*Jeszcze to słońce*
*swe uśmiechy kładzie*
*i czar ten lata*
*na ziemi się iści, —*

*a już ci nocką*
*w moim cichym sadzie*
*ktoś, jakby na złość,*
*zwarzył zieleń liści!*

*a już przed chatą*
*w słodkim winogradzie*
*coraz płomienniej*
*i coraz ogniściej,*

*choć słońce jeszcze*
*swe uśmiechy kładzie*
*i czar ten lata*
*na ziemi się iści!...*

*E. Kłoniecki.*

# KRYSIA

## UŚMIECH NA DRODZE

Las był ogromny a z jego głębi wyłaziła już gęstniejąca noc.

Mrok w nim wstawał cichy a zły, jak szpetny zbójec z pod krzaków. Z brzegu tylko, w niewielkim zasięgu dziewczęcych źrenic, kreśliły się mnogie pnie sosen, w głębi zaś tonęły stopniowo w idącej ciemności, jak w głębokiej, kalnej wodzie. Ponad głową, w rozkołysanych koronach sosen leciały ogromne tabuny wichrów. Prały stokrotnemi kopytami o ruchomy gościniec podniebny, krzyczały na calutki świat, stękały z wysiłku, rwały przed siebie naprzedbieżki rzucały się, przewalały, to na drobną miareczkę czasu przystawały zdyszane, żeby tchu zaczerpnąć, to znowu zrywały się, chrzęściły w gałęziach i nachylone nisko parły naoślep ogromną ławą, gnały na zatracenie, przepadały w dalekich bezdrożach, a za niemi przelewał się szum, jak ogromna, szara rzeka.

Rozrzucone spłachcie śniegu jarzyły się przyćmioną bielą naokoło dziewczyny, a niska, granatowa kopuła nieba wspierała się o czubki drzew.

— Kańsi sie chłop powiesił! — pomyślała lękliwie Krysia i przeżegnała się, kiedy nowy wicher prasnął w las i przetoczył się z lamentem po drzewach. Podniosła oczy w górę. I wtedy zdawało się jej, że to jakieś żywe stwory lecą ponad nią, na ogromnych nietoperzowych skrzydłach, z rożdziawionemi paszczękami, a kopyta ich tętnią i plątają się w gałęziach, rozczapierzone pazury zaś szamocą się i wydzierają drzewa z ziemi. A drzewa kwilą i stękają, jak żywe. Przeżegnała się powtórnie.

— Mój Boże, tu straszy!... — pomyślała znienacka i już na nią zlatywał ogromny lęk, kiedy sobie przypomniała, że wystarczy szepnąć święte słowo, a wszystkie straszydła przepadają. Tak jej kiedyś matka mawiała.

Na wspomnienie matki ukąsił żal drobne serce. Tak jej było, jakby się znienacka palcem dotknęła niezagojonej rany. A w te pędy za żalem przybłąkało się obmierzłe wspomnienie, żeć przecież musi się spieszyć do domu, boby gazdowie gniewali się bar-

dzo i nie czekaliby na nią ze świętą wieczerzą.

Schyliła się i jęła ostatek gałęzi układać do dzichówki. Już teraz krzyk wichru i tamte jakieś cudaczne głosy z głębi lasu mijały ją obojętnie. Tylko przed oczy wychylało się natrętnie wspomnienie rozmów ze starą Bajtkulą, która twierdziła, że gdy taki wicher wyje, to się wówczas chłop w lesie powiesił. Bała się podnieść oczy, gdyż spodziewała się go ujrzeć. Znów się przeżegnała szybko. Tamten nowy strach jednak nie odchodził.

— Pónbóczku roztonajmilejszy! — szepnęła ze wzrastającą trwogą. Lecz rychło się spamiętała.

— Coby nieboszczka matka na mojem miejscu uczyniła? — zastanowiła się. Już wie!

— Boże mu tam dej, temu powieszonemu chłopu... wiekuistą radość Amen... A że też musiał się wieszać w taki święty wieczór, kiedy się Jezusek rodzi!...

— ...kiedy się Jezusek rodzi! — powtórzyła z ulgą, bo w tej samej chwili ujrzała się u swoich gazdów, w ciepłej izbie za stołem. Na stole Boże drzewko stoi, takie duże, że sięga aż do powały, a na drzewku palą się świece, pali się dużo świeczek, i łańcuch z kolorowego papieru owija się barwnie koło gałązek, a na ich koniuszkach kołyszą się serca z piernika i lukrowane chłopki, i jakieś ogromnie słodkie cukierki, i jeszcze insze dobre rzeczy, a pod drzewkiem śpi taka duża lalka, gazdoszkowie zaś z Gretką śpiewają śliczną kolendę o Jezusku, co się w stajence narodził, a ona z nimi śpiewa, a jeść już się jej nie chce... już nie jest głodna...



— Mój Boże, dyć mi gaździnka prawili, że mi nie dają jeść, jeżeli przyjdę nie skoro!... przybiegło do niej wspomnienie groźby gaździnki, kiedy ją wysyłała do lasu na gałęzie. Wyczuła nieokreślony ból w żołądku. Przełknęła ślinę, bo znów dojrzała duży bochen chleba na stole i dymiącą misę czegoś ogromnie dobrego... Może to groch, albo fasola?... Albo też co inszego?... Przełknęła poraz drugi ślinę, głód wzmógł się jeszcze bardziej. Siedzi, psiawełna, gdzieś w żołądku i rozpiera się łokciami i nogami, a to tak boli... Żeby tak mały kawałek chleba!... Mój Boże święty!...

Ułożyła ostatnie gałązki, związała końce dzichówki, usiadła, spętliła je pod brodę, zaparła się i stanęła z wysiłkiem, Troszynkę jej w oczach zamigotały takie czerwone plamki, trochę się głowa zawróciła, ale już przeszło.

Wyszła z lasu.

Uderzył w nią wicher, zatoczył, w śnieg przewrócić usiłował. Przechyliła się niżej i, odwracając twarz przed jego naporem i przymykając oczy, jęła brodzić w głębokich zaspach. Wicher szalał coraz mocniej. Doskakiwał do niej, szarpał, pluł śniegiem w przymrużone oczy, ździerał brzemiączko z pleców, strącał do rowu, chichotał, lecz Krysia radowała się. Pozostał za nią huczący, czarny las, w lesie jakieś potwory i chłop powieszony, a przed nią płożyła się szeroka równina, jasna jeszcze, widna, z resztkami niknącego światła, co z nieba schodziło. Tyle jeno, co ten wicher kąsa, jakby drobnemi szpilkami. Poprzez lecące tumany sypkiego śniegu czerniły się przygięte wierzby Donocikowe, a za wierz-

bami zaś widniały już pierwsze chałupy. Teraz jeszcze wyjść na drogę ku tamtym wierzbom, a już się pójdzie dobrze. I droga będzie przetarta, i ludzi na niej spotka, i do domu nie będzie już daleko.

Zmęczyła się i zdyszała, zanim dotarła na drogę. Wicher dwukrotnie strącił ją do głębokich zamieci, śniegiem przysypał. Teraz gryzie zgrabiałe ręce, że aż palce kostnieją.

Przyśpieszyła kroku. Zdaleka dolatywało ją poprzez wicher poszczekiwanie psa proboszczowego. Droga była bezludna. Mrok gęstniał w oczach, w noc się zamieniał. Na niebie wybłyskiwały drobne, ziębnięte gwiazdy i pociesznie mrugały. Na zakręcie drogi widać już dużą chałupę Donocikową i oświetlone okna. Wyglądają jak maleńkie gwiazdki, co spadły z nieba, strącone wichrem, a teraz pełgają ostatkiem płomyka. W głębi zaś równiny, za rzeką, za czarnym, rozkroczonym mostem, wynosi się pomierzwiona, ciemna ściana miasta. Z nad ich krawędzi wysterkuje gruba wieża z baniastym dachem. W ścianie zaś tworzą się świetliste, okrągłe szparki i mrugają. To okna. Również podobne do strąconych gwiazdek z nieba.



Widok tamtych oświetlonych okien przywiódł Krysi wspomnienie ciepłej izby i zapach dymiącej misy z jadłem wigilijnem. I ludzi, co za stołem siedzą i radują się pospólnem szczęściem. Skrzywiła się lekko, bo ją coś w serce znowu ukłuło, jakby maleńka szpileczka.

Doszła już do chałupy Donocikowej. Naprzeciwko niej kurczyła się mała kapliczka.

— Spocznę se! — postanowiła Krysia, dygocąca z wysiłku. Tamte rude plamki znów jęły przebiegać i pląsać w jej źrenicach.

Wsparła brzemiączko o wysoki klęcznik, wtuliła się w kaplicową wnękę. Cicho tutaj i jakby cieplej. Wicher bokiem harcuje i wlecze za sobą smugi sypkiego śniegu.

— Spocznę se trochę a potem pójdę dalej!... — uciszyła swoją obawę. Bo w domu gaździnka czeka na nią, a gdyby się tak naprawdę spóźniła, to jej kandy!... Zmęczenie jęło powoli wyceikać ze znużonego ciałka. Strasznie dobrze tutaj!...

— Jej!... — zacudowała się znienacka. Oczy jej poleciały urzeczone w jasne okna chałupy. Sięgają do wnętrza izby. Widzą choinkę!... Na stole choinka jarzy się niewidzianym cudem. Od góry do dołu osypana jasnemi płomyczkami. Pomiędzy niemi kolorowy łańcuch z papieru, taki śliczny, że niema ani opowiedzi, a między łańcuchem a światełkami pierniki wiszą i jakieś błyszczące bańki, dzwoneczki, tam zaś jabłka i złocone orzechy. Wszystko widzi dobrze! Tak dobrze, że mogłaby policzyć, ile tych piękności. Od choinki ściele się wielkie światło na calutką izbę. Na ścianie kwadratowy zegar kołysze długim, cienkim prętem, a na pręcie kolebie się gruba, pękata blaszka. Strasznie to śmieszne! A teraz do izby wchodzi mała Zocha Donocikówna, za nią Felek. Zocha skacze i w dłonie klaska z radości. Felek coś jej palcem przygraża. Teraz weszli ich rodzice. Matka,

taka nieduża, gruba, a ojciec z dużemi wąsami. Obciera je wierzchem dłoni. Teraz siadają do stołu, a służąca Jewka przynosi jedzenie...

Na wieży zastękał dzwon zegarowy.

— Już pójdę, już!... — uciszyła powtórnie swoją obawę. Toć tak tu dobrze. Ciepło jakoś, coraz cieplej nawet, a naprzeciwko, w oknie, tyle uradowania dla oczu. Jeszcze chwileczkę zostanie!...

Tamci w izbie jedli powoli, oblizywali się, coś mówili, teraz opłatkiem się dzielą, teraz kolendy śpiewają. Boże, jakie śliczne kolendy!... Nigdy takich nie słyszała. Pamięta, kiedy jeszcze nieboga mamulka żyła, to jej też takie śliczne pieśni śpiewała. Wtedy, kiedy ją do snu układała. A może to naprawdę mamulka śpiewa?... Bo jakaś słodka senność ją nawiedza, jak wtedy, kiedy mamulka śpiewała przy jej łóżku... Ale temu już dawno!... Czy też mamulce nie będzie zimno w grobie?... Coraz wieksza senność nadchodzi i tak dobrze Kryśce, jak wówczas, kiedy zziębnięte ręce kładzie w ciepłą wodę. Wtedy też z wody wychodzi ciepło i bieży po kościach aż do ramion... A tamci wciąż śpiewają...

— No cóż tam robisz? — zbudził ją czyjś twardy głos.

Przeraziła się Kryśka, spojrzała. Na drodze stoi jakiś chłop i patrzy.

— Cóż tam robisz? Chcesz zmarznąć?... Czyjaś ty jest? — pyta się znowu

— Kryśka od Moroniów! — zawołała dziewczyna i uradowała się, bo poznała starego Kożusznika.

— Jezusku!... Kryśka!... Dyć ty zmarzniesz?... Co tam robisz?... zdziwił się Kożusznik i postąpił do dziewczyny. — Chodź do domu!... Gdzieś była?... — Głos jego złagodniał.

— Gaździnka posłała mnie po drzewo do lasu... A teraz trochę chciałam sobie spocząć... — tłumaczyła się Kryśka.

— Boże święty!... W taki czas do lasu... Ludzie bez serca!... No, pójdź, rybeczko, pójdź, bobyś tu zmarzła, i tako byłaby parada!... Pójdź!... A jakie to masz ciężkie!... — i wziął jej brzemiączko z ramion, zarzucił na swoje, ujął za dłoń i poprowadził. Wicher skoczył do dziewczyny, jak zły pies.

— Taki mróz stomiljoński, a gazdowie cię na drzewo do lasu posyłałą!... Bez serca ludzie!... No, pójdź, pójdź, rybeczko!...

Kożusznik kroczył wielkiemi krokami i wiódł Kryśkę. Dziewczyna biegła truchcikiem, żeby móc wydolić. A Kożusznik wciąż coś mruczał na gazdów. Minęli most nad rzeką, minęli łęgi nadrzeczne, skręcili na drogę, co już teraz do miasteczka wiodła. Wicher tutaj nie wydziwiał tak bardzo. Chałupy mnożyły się koło drogi. Z ich okien kładły się na śniegu wielkie świetliste plamy. W ich głębi zaś dostrzegała Krysia ludzi, choinki, ciszę i ciepło.

Doszli.

— Wiesz, pójdę z tobą aż do Moroniów. Spieronuję ich co wlezie!... — rzekł mocno, a równocześnie pogłaskał ją chropowatą, zimną dłonią po twarzy.

— Mamulka też tak umieli głaskać — pomyślała Kryśka i duża kropla miodu kapła w jej serce.

Kożusznik podszedł do okna, zapukał pięścią w szybki, a kiedy drzwi się otworzyły, w nich zaś stanął gazda Moroń, jął Kożusznik coś na niego krzyczeć. Kryśka nie wiedziała, co krzyczał, bo już była wbiegła do sieni z brzemiączkiem, a ze sieni do kuchni.

*C. d. n.*

Otwierają się czeluście kolejki podziemnej, nadjeżdżają z łoskotem przeła-



PAWILON MISYJ KATOLICKICH.

dowane podróżnymi dziesiątki autobusów — długie sznury aut przebiegają przed wizją egzotycznego świata zaklętego w postaci Wystawy Kolonjalnej w Paryżu. Bezradny przybysz, znalazłszy się nagle wśród wielotysięcznego tłumu ciekawych, przeciska się z trudem przez jedno kłębowisko ludzkie poto, by natychmiast stać się łupem nowej fali nowoczesnych pielgrzymów, którzy chcą przez parę godzin poddać się złudzeniu przeniesienia się w kraje wymarzone wyobraźnią, tęsknotą, a dotychczas nieosiągalne. Przeszliśmy już bramę, wyminęliśmy wykrzykujących ostatkiem ochrypłego głosu sprzedawców planu Wystawy, „tańszych“ biletów wstępu i t. d. ale stajemy znowu przed zagadką: od czego zacząć. Wprawdzie wystawa rozmieszczona została tak, jak się tego można było po Francuzach spodziewać t. zn. ze smakiem, stylowo, inteligentnie — ale dlatego właśnie, że jest w czem wybierać, trudno się zdecydować: czy



PAWILON STANÓW ZJEDN. AMERYKI.

pójść najpierw do muzeum kolonjalnego, które w prześlicznym trwałym gmachu, pokrytym pięknemi płaskorzeźbami, kryje nieocenione skarby, jakby syntezę całej wystawy — czy raczej zacząć od pojedyńczych pawilonów, przecisnąwszy się między kramami i pawilonami pojedyńczych firm i sprzedawców, psującemi jednolitą linję wytyczną wraz z mnóstwem restauracyj, kawiarni, teatrzyków i kin. A może najpierw zwiedzić skałę małp i osiedle słoni, lwów. A może... ale trzeba się decydować: idźmy więc główną aleją kolonji francuskich i dajmy się unieść fali ludzkiej... Niestety — zwiedzać wnętrza z tysiącami cisnących się ludzi nie należy do przyjemności — ale heroicznie przezwyciężam trudności, wymykam się z obręczy ciekawskich i dzięki niezłemu wzrostowi (zwłaszcza wobec średniego wzrostu Francuzów) zaglądam ponad głowy obecnych, patrząc na niezgrabne gramolenie się jakiegoś młodego jegomościa, który chce sobie raz w życiu powiedzieć, iż siedział przez minutę „na okręcie pustyni“, wynajętym za kilka franków wraz z poganiaczem.



KONGO BELGIJSKIE. PAWILON PRZEMYSŁU ZBYTKOWNEGO. W GŁĘBI STRZECHĄ KRYTY PAWILON GUYANY.

Nie zrażając się iście „afrykańskiem" powietrzem, wkraczam odważnie do izdebki, w której metodą dzikusów tka się płótno na warsztatach, pamiętających napewno pierwsze wysiłki Ewy. Importowani z głębin Czarnego, Złotego czy innego egzotycznego lądu reprezentanci wszelkich ras i kolorów — przejęci swoją ważnością, lub patrzący wzgardliwie na trzepoczący się wokoło nich naiwnie zainteresowany tłum „białych twarzy" — z leniwą ociężałością i prymitywnym spokojem wyrabiają w oczach publiczności charakterystyczne twory ich krain: toczą prześliczne przedmioty z kości słoniowej, wyciskają skórę na europejskie portfele, lub marokańskie pantofle — plotą z barwnych pasemek poduszki, maty, i t. d. i t. d. Nagle w tymże samym obrębie wsi, zaczarowanej w lasku francuskim Vincennes w kształty zachodnio - afrykańskie, słychać przenikliwy jęk. Czujemy, że za chwilę stanie się coś strasznego, że z wierzchołka wieży spadać zacznie ciało zarzynanego człowieka — chrapliwy lament potęguje się, dołącza się doń zawodzenie osoby obdzieranej ze skóry: wszyscy w najwyższem przerażeniu zbiegają się na podwórze, w którego środku jest mała sadzawka i zadzierając głowy do góry, wypatrują wytłumaczenia tragedji. Po paru sekundach objawienie: to mieszkańcy owej wioski „wyśpiewują" modlitwy w swej „świątyni". Z ulgą opuszczamy progi i ściany krwawych budowli i czerwonej gliny, którym brak tylko palącego afrykańskiego słońca, by miraż stał się rzeczywistością. Ale deszcz prześladujący nas przez całe lato, pokazał raz jeszcze co umie i grubemi kroplami ulewy zapędził nas truchcikiem do bielejących gościnnie zabudowań pawilonu marokańskiego[1]). Zmuszeni w ten sposób do pilnego oglądania wszystkich eksponatów, pod czujnem okiem fatalistycznie zamyślonych burnusowych strażników, nabieramy zwolna pojęcia o każdym szczególe życia w tej kolonji francuskiej. Wyświetlane statystyki, obrazki krajobrazowe i obyczajowe, przepiękne de-



PAWILON A. O. F. (AFRYKI ZACHODNIEJ).



PAWILON A. O. F. WIDOK Z GÓRNEGO TARASU.

[1]) Patrz: Nr. 1. „Dziś i Jutro".

koratywne sceny marjonetkowe, rzeźby, obrazy, barwne tablice, zbiór wytworów, przetworów — wszystko to unaocznia doskonale całokształt pracy włożonej przez krajowców i Francuzów.

Trzymając kurczowo sakiewki, byby nie dać się skusić do kupna horendalnie drogich drobiazgów przez stare lub młode wygi w t. zw. suk, czyli dzielnicy handlowej w Tunisie, nabieramy zwolna umiejętności patrzenia zezem, tak, że nikt dojść nie może, na co z poza okularów spoglądamy i tylko tym sposobem unikamy podłej śmierci, spowodowanej nadmiarem wrażeń i wrzasku zachęcająco obstępujących nas przekupniów. Z czcią spoglądamy na tych z pośród nich, którzy obojętnie i spokojnie strzegą jedynie swoich skarbów, umiejętnie rozmieszczonych.

A tam co za wrzawa? Widzimy „ogonek“, zmierzający pędem na placyk przed jakąś restauracją. Dwie „prześliczne“ murzynki z cudownie do góry zaczesanemi kosmyczkami włosów, upiętemi wysoko, dzięki plecionce z barwnego łyka, przechodzą w przezabawnym barwnym stroju, pewne druzgoczącego wrażenia. Wreszcie — z wdzięcznemi grymasami ustawiają się przed aparatem fotografa-amatora.

Bodaj że jednak śmieszniejszy i ciekawszy widok przedstawiają sami turyści: rodziny obładowane zapasami żywności mniej więcej na dwa tygodnie i obozujące przez cały dzień na zielonej trawce, poważni zwiedzający, którzy czują się nieledwie w obowiązku obejrzenia i dotknięcia każdego eksponatu: martwego i żywego niemal że, przekonania się dowodnie czy ów czarny, żółty, bronzowy, czekoladowy człowiek porusza się jak i on, czy ma duszę. Zabiegają im więc drogę, zaglądają pod turbany, wpatrując się w ich nieprzeniknione — z głupoty lub godności — twarze. Gdzie indziej cała „karawana“ „miseczek“ angielskich lub amerykańskich, skłębiona przed baśniową wizją świątyni Angkor-Vat,[1]) — choć ma oczy, ale nie widzi, choć ma uszy, nie słyszy — przemęczona wrażeniami, czująca jedno tylko: uparty, dotkliwy ból umęczonych stóp. Co im tam znaczą prześliczne fontanny, totemy i fetysze szczerzące ku nim swe wykrzywione twarze — prześliczne latarnie wachlarzy, świeczników — przedziwne smutne głowy bawołów, zdobiące olbrzymi słup przed pawilonem Madagaskaru, czar prymitywnych, strzechą krytych budowli z Guyany, Kamerunu Togo, wdzięczne pawiloniki Nartyniki, Somali. Czuję tylko nieprzepartą potrzebę odpoczynku i wszystkie koronkowe rzeźby na prześlicznej świątyni Angkor, do której prowadzą terasowo majestatyczne schody, wszystkie skarby sztuki tubylców — wszystkie ciekawostki zagranicznych pawilonów kolonialnych nie czynią żadnego już wrażenia na otępiałe ich dusze. Ale i to jest po części triumfem wystawy. Przez cały ten czas: rano, przy blasku przelotnym kapryśnego słońca czy wieczorem, wśród furji wspaniałych efektów świetlnych na jeziorze Daumesnil przezwanem jeziorem Bagdadu — ani na chwilę prawie nie przestają poddawać się złudzeniu, że były, że są w samem sercu — nie Wystawy kolonjalnej — ale pięciu, przedziwnie na miejsce zebranych kontynentów świata.

*Dr. Zofja Bastgen.*

## S Ł O W A

*To taka mała rzecz, a wiele znaczy —*
*jedno, rzucone mimowoli, słowo*
*Może dać ożyć radości na nowo,*
*albo pogrążyć w ciemnościach rozpaczy...*

*Wypowiedziane tak, albo inaczej*
*staje się cierniem — lub wonią kwiatową.*
*Zawsze, gdy możesz, powiedz dobre słowo.*
*To taka mała rzecz, a wiele znaczy.*

*ALINA KWIECIŃSKA*

[1]) Patrz Nr. 1 „Dziś i Jutro”.



# Z TRZECH NAJPIĘKNIEJSZA

(Humoreska sądowa)

przez Maurycego Jokai'a przyswoiła A. Miłkowska

Będzie temu lat sześćdziesiąt, umarł w Węgrzech pewien tytularny asesor sądowy, który dziwnym sposobem zapewnił sobie pośmiertną sławę.

Miał trzy siostrzenice: Herminę, Pepitę i Agnieszkę, które za jego życia słynęły z piękności na całą okolicę.

Trzy piękności odwiedzały wuja bardzo często, a celem każdej z tych wizyt było: „Prawda, wujaszeczku, że mnie zapiszesz dwupiętrową kamienicę?"

— Tobie, duszko, tobie! — odpowiadał zwykle staruszek każdej z nich, a lubił bardzo, kiedy go o to pytały. Nie gniewało go wcale to samolubne pytanie, przeciwnie. Ledwo się mógł śmierci doczekać, aby przez nią wypłatać figla, z którego miał nadzieję serdecznie się uśmiać jeszcze na tamtym świecie.

Po otworzeniu testamentu wujaszka-asesora znaleziono w nim słowa: „Dwupiętrową kamienicę zapisuję najpiękniejszej z trzech moich siostrzenic".

I bądź tu egzekutorem testamentu!

Z sądu Parysa powstała dziesięcioletnia walka, a przecież trzem boginiom szło tylko o jabłko, tu zaś szło o dwupiętrową kamienicę!

I zaiste, doprawdy niebezpiecznie było rozstrzygać (tem więcej, że to się działo na drodze prawnej), która z trzech najpiękniejsza?

Gdyby żądano dowodów, każda mogła była przedstawić setki wielbicieli, tancerzy, spacerujących pod oknami, wzdychających, a nadto wielu starających się.

Gdyby żądano Visum repertum, to któżby był zaprzeczył Herminie wysmukłego wzrostu, czarnych jak kruk warkoczów, błyszczących oczu? — pięknej zaś Józefinie, pieszczotliwie zwanej Pepitą, rumianej twarzyczki, miękkich jak jedwab blond loków, maleńkiej rączki? — albo nakoniec Agnieszce, naturalnie wijących się kasztanowatych bujnych pierścieni, ślicznych dołeczków na twarzy, ząbków niby sznur pereł i czarującego uśmiechu? Prawdziwie trzeba tu dodać, że każda z nich była bardzo piękną i to niezwykle piękną. Ale rzeczą adwokata było wywalczyć, która z nich jest najpiękniejszą?

Takim sposobem wojna Trojańska wszczęła się na nowo — atramentem i papierem. Jakiż był środek przekonywujący? Co miał powiedzieć adwokat na korzyść swej klijentki? Pewnie nie to, że jego protegowana w taki a w taki sposób jest piękną, było to bowiem rzeczą pierwszego rzutu oka; lecz przeciwnie miał dowieść, i na tem

cała jego polegała sztuka, jakie się mogą znaleźć wady w piękności dwóch pretendentek.

Można sobie wyobrazić jaki z tego powstał śliczny proces. Jak to kolejno najskrytsze tajemnice toaletowe wyszły na jaw!

Adwokat Herminji zarzucił Pepicie, że się maluje karminem, a następnie w obecności znawców musiał to uznać za fałsz, gdyż kolory Pepity były naturalne, a nie sztuczne. O wiele niebezpieczniejszem i groźniejszem wydało się obwinienie, że wzrost Herminji wypadł trochę nieprawidłowo i, że tylko gorset podtrzymywał ją prosto; zaś na Agnieszkę rzucono podejrzenie, że utyka na lewą nogę, wskutek czego jeden z jej trzewików miał wewnątrz korek, jak również, że miała „szynion" (jeżeli dobrze pamiętam ten wyraz techniczny) przypinany nie zaś naturalny. Do tego wszystkiego przyłączyły się jeszcze sztuczki wymowy adwokackiej jak np. to, aby nalegać o wydanie wyroku właśnie wtedy, kiedy Pepita miała tak mocno nabrzmiały policzek od reumatyzmu, że zaledwie zdołała otworzyć usteczka, lub też kiedy Herminja z powodu kataru słowa przemówić nie mogła.

Potem nastąpiły obwinienia wymierzone przeciw cudnym pięknościom.

Jedna była pono uszczypliwa, druga dokuczliwa, trzecia niegrzeczna; ta skąpa, tamta znów gniewliwa; cóż zaś może więcej szkodzić piękności jak gniew i zły humor? Dowodami tego były: „Kasia, Małgosia, Józia, Fruzia, Julka" i inne wypędzone sługi; kucharki i pokojówki, które świadczyły, że przeciwniczki przez 18 godzin na dobę były bardzo brzydkie, kiedy w domu łajały służbę, to aż wstręt brał patrzeć na nie, ale za to znów Basia i Rózia, faworytki obwinionych, przysięgły, że bronione przez nich klijentki są prawdziwie piękne i miłe.

Takim sposobem proces ten ciągnął się przez lat sześć, nie postąpiwszy o włos naprzód, z wyjątkiem kilku wyrwanych zębów, które chwilowo poruszyły wagi sprawiedliwości. To też nakoniec sędziowie zaczęli sami namawiać przeciwne strony, aby zgodnie zakończyły całą sprawę.

O naiwności! Można radzić Anglikom, aby się przyjaźnie obchodzili z Indjanami, można radzić władyce z Montenegro, aby sułtana tureckiego uznał za potężniejszego władcę od siebie; można wreszcie radzić redaktorom trzech dzienników mód, aby uznali jeden z nich za najlepszy — ale radzić trzem pięknym pannom, aby dwie z nich uznały trzecią za piękniejszą od siebie, na to trzeba nielada odwagi! Rzecz więc naturalna, że namowy sędziów żadnego nie odniosły skutku, a trzy jejmościanki prowadziły tem zawzięciej rozpoczętą walkę, im łatwiej było o „przeciw", a trudniej o „za".

Takim trybem prowadzony proces o to: „która najpiękniejsza?" dorósł do pięknej rozciągłości dwudziestu ośmiu latek istnienia. Wtedy już niestety! bardzo trudno było rozstrzygnąć to pytanie, gdyż z każdym rokiem trudniej było o dowody.

Podczas tego nikt nie dbał o losy w spadku odziedziczonego domu, nikt nie płacił ciążących na nim należności, a roczne dochody szły na koszta procesu. Na zapłacenie więc procentów, od procentami powiększonego kapitału, wierzyciele zlicytowali dom, a otrzymana suma poszła w całości na zapłacenie należności, tak, że jak się to mówi, spadkobierczynie wyszły na czysto.

Tak więc, z fatalnego tego procesu zostało tylko rozwiązanie pytania: która z trzech procesujących się jest najpiękniejsza?

Wtedy jednak zbliżały się do pięćdziesiątki, może nawet której z nich już ciążyła, a czas (oj ten nieznośny czas!) i częste wrażenia, zaszkodziły niemało piękności. Wszystkie trzy były jeszcze pannami, mieszkały w jednym domu, a na ulicy, o każdej porze dnia

można było słyszeć, jak się między sobą swarzyły i kłóciły.

Kiedy dom ów spadkowy zlicytowano, wszystkie trzy opadły sędziego pytając co będzie z ich procesem i czy go mają na nowo rozpocząć?

„Nieźleby to było, odpowiedział poczciwy sędzia, tylko tym razem rozpoczniemy go na innej podstawie, mianowicie: „która z trzech najbrzydsza“.

O ile wiem, nie wznowiono procesu.



# DZIADUNIO SWATEM

— Emilciu! Emilciu-u-u — grzmiał potężny bas pana Jacentego Waligóry, dziedzica dóbr Waligóry z pięciu folwarkami.

Przybrany w długi, czarny surdut z najcieńszego sukna, z bukiecikiem mirtowym, przewiązanym białą kokardką, tkwiącym tryumfalnie w dziurce klapy od tużurka, pan Jacenty wyglądał odświętnie i wyjątkowo uroczyście.

Mimo lata podeszłe, bo nieubłagana metryka głosiła o 75-tej wiośnie... Dziadunio Jacuś trzymał się dzielnie, a z czarnych oczu pod osłoną krzaczastych ciemnych brwi umiał jeszcze sypać iskry... A gdy podkręcił z fantazją białego sumiastego wąsa, a srebrną czuprynę na jeża postawił i polonezowym krokiem z animuszem sunął do panien, to niejedna jeszcze jak maczek pokraśniała i serduszko silnie jej zabiło pod palącem spojrzeniem tych ognistych uczu.

O, bo pan Jacenty był bałamut nielada! Cała okolica o tem wiedziała, że gdy przed pięćdziesięciu laty na zabawie maskowej, przebrany za szlachcica w karmazynowym kontuszu, stanął przed pierwszemi partjami z arystokracji, to każda panna-hrabianka, czy z książęcego nawet rodu, gotowa była rączkę swą wraz z herbową koroną złożyć w dłoni dziarskiego młodziana.

Ale pięknego Jacusia to nie wzruszało; wybrał panienkę skromnych obyczajów i skromnej fortuny. Wyszukał sobie ten fijołek rzadkiej piękności aż w nadniemeńskich borach i przywiózł do swego dostatniego dworu, by mu wonią cnót i wdzięków samotny dom ozdobił.

I tak pięćdziesiąt lat przebyli w zgodzie i szczęściu wzajemnem, pięćdziesiąt lat bez najmniejszej chmurki w małżeńskiem pożyciu, choć ponad nimi gromadziły się nieraz chmury i niejeden nawet grom uderzył w cichy biały dom, w gniazdo, skąd młode orlęta wyfruwały — synowie i wnuki, błogosławiąc czystość i tężyznę ducha ogniska rodzinnego, z którego byli poczęci.

To też gdy nadszedł uroczysty dzień złotego wesela Dziadków, zjechała się cała rodzina, z najdalszych stron, sy-

nowie, i synowe, córki i zięciowie, a przy nich wnucząt całe roje.

Jakkolwiek dom w Waligórach należał do najobszerniejszych w okolicy, to jednak zaczynało robić się już ciasno w gościnnych murach.

Z licznej rodziny nikogo nie brakowało, bo każdy z członków od najmłodszych do najstarszych uważałby sobie niemal za zbrodnię nie stawić się na taką uroczystość. Babunia i Dziadunio — to były najcenniejsze klejnoty w ich herbie, szczycili się niemi i otaczali wprost pietyzmem.

— Emilciu! Emilciu! huknął znów bas niecierpliwiącego się już nie na żarty Dziadunia, który stojąc pod drzwiami garderoby Babuni, okazywał mocne zdenerwowanie.

— Duszko, kochanie! — prosił wreszcie pokornie. Jegomość już po nas przyjechał, wszyscy czekają.

— Zaraz, zaraz. Za minutkę będę gotowa! — doszła z za drzwi odpowiedź łagodna.

Istotnie za chwil kilka tajemnicze drzwi się otworzyły i na progu stanęła upragniona, cała w uśmiechu — Babunia.

— Babunia! Ukochana, Jedyna, śliczna nasza Babunia! — wyrwało się radosnym okrzykiem z kilkudziesięciu młodych, młodszych i najmłodszych piersi i barwny rój, jak skrzydlata rzesza motylków, zwartem kołem otoczył postać sędziwej matrony.

— Hola! z drogi! to moje miejsce! — z groźną miną upominał się o swe prawa p. Jacenty, rozsuwając energicznie rozbawioną gromadkę.

— Służę Jejmości — i z galanterją, w niskim ukłonie zgięty, podawał ramię swej małżonce.

I stanęli tak, na środku obszernej, kwiatami przystrojonej sali, ramię przy ramieniu. Dziadunio z rycerskim animuszem, pełen radości w ognistych źrenicach, z wąsami zalotnie w górę podkręconemi, Babunia z błękitnemi jak niezabudki nad leśnym ruczajem oczami, cerą świeżą i młodą.

Bialutkie włosy środkiem głowy w dwa pasma ujęte, układały się z natury falisto, jakby misternie ręką fryzjera utrefione. Na nich rąbek śnieżnej koronki, przykrytej drugą czarną, o delikatnych pajęczynowych wzorach, która spływała lekko do pasa. Czarna jedwabna, powłóczysta suknia, a na niej takaż fałdzista peleryna, podbita gronostajowem futerkiem, układała się miękko. Pod szyją biały żabot z cieniutkiej koronki, przepięty wspaniałą złotą, gęsto wysadzaną brylantami broszą, w kształcie serca. Po środku krwawił się przedziwnym blaskiem olbrzymi rubin.

Brylanty różnej wielkości rozmieszczone były w planowym porządku. Mimowoli nasuwała się myśl, patrząc na artystyczne wykonanie i wysoką wartość broszki, że tem klejnot musiał być jakąś symboliczną pamiątką, musiał mieć swą historję... I tak było istotnie, każdy kamień oznaczał jedno dziecko. Broszkę tę otrzymała pani Waligórowa w prezencie od męża w nagrodę za pierwszą pociechę. Liczba brylantów zwiększała się w miarę przybywania nowych... Cenny kamień po środku miał wyobrazać osobę męża, który zawsze dowodził, że w sercu swej małżonki musi mieć pierwszeństwo. Rubin wstawiono na dzień jubileuszu.

Gdy spojrzało się na tę starość taką dostojną, a tak jednocześnie promienną i jasną — klękać się chciało i modląc się malować, czy rzeźbić, by nie przepadł w wieczności... ten cudny kształt, to życie z ducha i dla ducha... To też z ust wszystkich jednomyślnie wyrwał się — okrzyk serca, okrzyk hołdu: „Niech żyją, niech żyją nasi ukochani Dziadkowie... Sto lat... i jeszcze sto i sto“... Echo rozniosło daleko... szeroko... okrzykiem tym rozbrzmiewały, tętniły mury modrzewiowego dworu...

A staruszkowie już siedzieli w obszernej staroświeckiej karocy, tej samej co niegdyś, przed pół wiekiem, wiozła ich w słoneczną dal szczęścia...

I mieli przed oczyma tę złotą wizję widocznie, bo przytuleni, niepomni lat i przeżytych ciosów, jakby to wczoraj nie pokrywały chmury — jechali, by u stopni ołtarza złożyć Panu dań i wylegitymować się ze szlachectwa dusz...

A czar natury harmonją barw i wdzięków dostrajał się do ich wnętrz...

Kareta zatrzymała się przed wiejskim parafjalnym kościółkiem.

Cały tonął w kwiatach, a poprzez wzorzyste witraże sączyły się potoki światła.

— „Veni Creator“ — brzmiały organy, a dźwięk ich poważny i majestatyczny przeniknął do głębin serc...

Pięćdziesiąt lat wstecz te same organy wygrywały im pieśń szczęścia!

Proboszcz siwiutki jak gołąbek także ten sam, co ich ręce wiązał na wspólną dolę, co dzieci ich wszystkie i wnuki chrzcił — wszedł na stopnie ołtarza.

I jemu zaszkliły się oczy, gdy spojrzał na te dwie srebrne głowy, kornie schylone przed Panem. W zacnem sercu staruszka wezbrało rozrzewnienie i westchnął mimowoli...

Gdyby więcej takich... a odrodzony byłby świat i duch narodu pozbyłby się pleśni zatrucia... I oczami duszy przymglonemi, co nawykły patrzeć na ból i brud... śledził puste i wygasłe ogniska domowe... sieroctwo dzieci... bez matek... bez ojców!...

Więc słowa popłynęły z ust starczych, mocne, pełne namaszczenia, nadprzyrodzonej siły pełne, jakby chciał niemi dać świadectwo tej radości Bożej, co z wysoka patrząc, błogosławiła...

. . . . . . . . . . . . . . . .

I znów wesela pełne okrzyki witały u progu wracających małżonków; wszyscy cisnęli się do rąk, by te kochane dłonie do serc, do ust przytulić, by nakreśliły krzyżyk na czołach..

A gdy ostatnie najmłodsze wnuczę schyliło do kolan staruszków główkę, strojną w złote, ku ziemi sięgające warkocze, jakby instynktem wiedzione kochające oczy Babki, spoczęły niespokojne i badawcze na zbladłej twarzyczce dziewczęcia.

— Ninko, co tobie, dziecino, ty cierpisz?

Łuną rumieńca zapłonęło liczko pytanej — długie rzęsy opadły nisko, kryjąc łzawe, cudne jak zielona toń morska, źrenice.

— Ejże, dzierlatko! co tak płoniesz jako kwiatek w słońcu, a na oczach chyba srebrna rosa błyszczy? bo o łzach myśleć nie wolno! — groźnie pytał Dziadunio, zaglądając w twarzyczkę ulubienicy.

Pod siłą tego spojrzenia drgnęły powieki, zatrzepotały się i podniosły zwolna, ukazując przesmutne oczy.

— Czyś zaniemówiła — co? — pytał troskliwie, głaszcząc jasną główkę dziewczęcia.

— Oj coś się święci, co Dziadzio przeczuwa! A gdzież to Jerzyk?

— Co tam knujesz, asan? — Światła się lękasz, czy może urzekły cię gwiazdki w oczach panieńskich, hę?

— Dziś nie pora na smutki! Wysuń się no asan z za tej palmy i w oczy popatrz mi prosto.

Z poza pnia rozłożystej palmy, co zajmowała cały róg dużej sali gościnnej, wysunął się smukły, ogorzały młodzieniec, zakłopotany w tej chwili i mocno zmięszany.

—Zajęcia przy gospodarstwie w polu — począł usprawiedliwiać się niezgrabnie, — nie pozwoliły przyodziać się odpowiednio — przeto skryłem się w cieniu...

Młode dziewczątko pół figlarnie, pół z rzewną troską śledziło z pod przymkniętych powiek grę wrażeń na twarzy Dziadunia.

— Tere — fere — gadaj asan zdrów! On dziś z gospodarstwem, z pracą w polu wyjeżdża! Patrzcie go, taki mi pilny, — drwił staruszek, bawiąc się skrycie rosnącem zakłopotaniem młodzieńca.

— Cóżeś to z księżyca spadł, że nie wiesz o Bożym świecie i androny pleciesz o gospodarstwie dziś, gdy

z racji naszego jubileuszu, wszystkich w polu zwolniono?... Skaranie Boskie z tą młodzieżą dzisiejszą! — do niczego to!... jeno do amorów — dodał cichutko, mrugając filuternie w stronę dziewczęcia.

A ta po złote włosy zarumieniona skryła się pośród rówieśniczek, co jak wieniec kwiatów otoczyły fotel Babuni, tuląc się i uśmiechając się do niej.

Dziadunio widocznie uwziął się na Ninkę, bo zauważywszy, że w kole barwnem i rojnem znów stoi z minką zafrasowaną, sunął do niej i wziąwszy pod ramię przestraszone i gwałtem opierające się dziewczątko, prowadził je, jak ofiarę, do fotela Babuni.

— Niechno Jejmość — umiłowana moja — zechce łaską obdarzyć i to biedne nasze najmłodsze — wszak to „Benjaminek“. — Czegoś nam smutne...

— A może chora? z niepokojem przerwała Babunia, powstając spiesznie.

— Tak, tak — może to i jakie przyplątało się choróbsko — potakiwał Dziadunio, przytrzymując mocno rączkę dziewczęcia, które próbowało się za wszelką cenę wyrwać, patrząc z błagalną prośbą w oczy Dziadunia. Ale staruszek udawał, że nic nie rozumie i nachyliwszy się figlarnie do ucha Babuni ręką przysłonił usta i huknął na całą salę:

— Ponoć to „amory“ nazywa się ta choroba i rozweselony pełną zgorszenia miną Babuni, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Gdzie? kiedy? jak? — wołała w przerażeniu Babunia, tak przejęta otrzymaną wieścią, że nawet wesołość męża uszła jej uwagi.

— Gdzie? — zanosząc się od śmiechu tłomaczył Dziadunio. A gdzieżby jak nie tu — we własnym Jejmościny domu. Kiedy? — ponoć to dziewczętom już w kolebce śni się o amorach... A jak? — to już najlepiej Jejmość-Dobrodziejka sama tę umiejętność wyłoży, skoro przez pięćdziesiąt lat w tej sztuce się ćwiczyła...

— Jacusiu! — zgromiła Babunia, rumieniąc się, jak młoda dziewczyna.

— Tak wcześnie! Wszak Nince dopiero siedemnaście lat za parę tygodni się kończy — taka młoda — próbowała bronić swej racji.

— A Jejmość to ile sobie wiosen liczyła, gdy zaczęła wzdychać do pięknego Jacusia — co? pytał, całując czule rękę Babuni.

— Nie poradzim tu nic — Dobrodziejko łaskawa, widać, że w tych modrzewiowych ścianach jakowyś mikrob miłosny się zakradł — niecnota! i wszystkich zaraża... Nie poradzim — z komiczną bezradnością tłomaczył.

— Jerzy — a choćże tu niezdaro! — Młodzieniec szedł jak na ścięcie, choć z pod płowej bujnej czupryny paliły mu się ogniem czarne źrenice, zapatrzone jak w tęczę, w młode dziewczątko.

Dziadek złączywszy dłoń jego z małą drżącą rączką „Benjaminka“ z miną wielce uroczystą prowadził młodą parę ku Babuni, którą znów młodzież usadowiła w fotelu.

— Mam zaszczyt i uniżenie proszę Jejmość Dobrodziejkę o rękę tej dzierlatki dla tego oto młodzieńca. Oboje niedołęgi — umieją tylko płakać i wzdychać! — Dobrana para!

— Prawda, że asan jegomość świeci płótnem w kieszeniach, ale w sercu i głowie — niezgorzej. Zato naszej dziewuszce należy się...

— Dziaduniu — przerwała Ninka i zawisła mu na szyi, tuląc jasną główkę i zarumienioną twarzyczkę do jego ramienia. Dziaduniu — mówiła zdyszana, podnosząc ku niemu roześmiane szczęściem oczy.

— Pan Jerzy nie weźmie... nie chce mojego posagu... wykrztusiła. Będziemy oboje pracować... a mój posag na pamiątkę dzisiejszej drogiej uroczystości — przeznaczamy jako fundusz imienia Dziadków dla najbiedniejszych... *J. Steinbokówna.*

# WIADOMOŚCI MISYJNE

1. PAŹDZIERNIK—LISTOPAD 1931



## *Otwieramy nowy dział — misyjny*

*Do współpracy wzywamy wszystkich: dużych i małych, tak wiekiem, jak talentem pisarskim, byle szczerze zainteresowanych ideą misyjną.*

*W »Wiadomościach Misyjnych« podawać będziemy:*

*1. Rozporządzenia kościelne odnoszące się do misyj, jak: streszczenia i wyjątki encyklik papieskich, listów pasterskich itp.*

*2. Artykuły, listy i fotografje otrzymywane od misjonarzy i misjonarek wprost do redakcji, lub za pośrednictwem Czytelników-Współpracowników.*

*3. Wiadomości o pracy misyjnej zaczerpnięte z różnych wydawnictw misyjnych, zaznajamiając w ten sposób Czytelników z literaturą misyjną w Polsce i zagranicą.*

*4. Wiadomości o działalności stowarzyszeń i kółek misyjnych młodzieży.*

*5. Wykazy ofiar składanych na cele misyjne za pośrednictwem redakcji.*

*6. — i — co jeszcze? — Prosimy o wyrażenie życzeń, albo, co lepiej, o nadsyłanie materjału. (Zawsze z podaniem źródła skąd wiadomość zaczerpnięto).*

*Ufamy, że »Wiadomości Misyjne« zainteresują naszych Czytelników i będą jednem z drobnych ziarnek przyczyniających się do wzrostu wielkiego dzieła szerzenia panowania Chrystusa-Króla.*

## KRUCJATA MIŁOSIERDZIA

»Papież misyj«, panujący obecnie Ojciec św., Pius XI. po wielokrotnych nawoływaniach do pracy misyjnej w krajach dalekich, wydał ostatnio (2. października b. r.) **List Apostolski**, w sprawie, którą można uważać za misję wewnętrzną, a którą Ojciec św. nazywa **„Krucjatą miłosierdzia"** na rzecz dotkniętych klęską przesilenia gospodarczego i finansowego.

»Nowa klęska zagraża powierzonej nam trzodzie — pisze Ojciec św. — a nawet po większej części już ją dotknęła i to najciężej tych, szczególniej przez nas umiłowanych, mianowicie dziatwę i lud roboczy, rzemieślników i wszystkich, którzy nie opływają w dostatki... Największe współczucie budzą w nas dzieci, które ze łzami proszą chleba.... widzą jak

omija je radość ich wiekowi właściwa, jak gaśnie i zamiera na ich młodzieńczych wargach uśmiech, którego w duszy pragną podświadomie... Dlatego do wszystkich, w których żyją uczucia wiary i miłości chrześcijańskiej, zwracamy wezwanie Nasze, mające na celu pobudzenie do **„Krucjaty miłosierdzia i pomocy“**, która wzmacniając ciało, krzepiąc dusze, ożywi wiarę, usunie posępne myśli, jakie nędza rodzi, wznieci ogień miłości i zgody, krzewiącej pokój i pomyślność jednostek i państwa.«



Oryginalne japońskie wzory do haftu płaskiego, kolorowego o bardzo jaskrawych barwach. Znacznie pomniejszone.

Do zorganizowania takiej akcji na szeroką skalę wzywa Ojciec św. »wszystkie dzieci jednego Ojca Niebieskiego«, wszystkich członków jednej wielkiej rodziny, bo tylko hojność i gorliwość w ofierze zdoła przezwyciężyć trudności obecnej chwili.

## DOŻYWIANIE DZIECI

Częściową odpowiedzią na wezwanie Ojca św. jest akcja dożywiania dzieci, którą zajęło się u nas starsze społeczeństwo przy pomocy młodzieży, rozszerzając działalność zorganizowanej zeszłego roku akcji **„Dzieci — dzieciom“**. Dzieci szkół średnich przynoszą do szkoły podwójną porcję drugiego śniadania. Te dodatkowe bułki z mięsem, lub serem zbierają dyżurni, a szkoła według ustalonego porządku odsyła do szkół powszechnych. Niektóre szkoły zbierają już do 200 śniadań dziennie.



Japońskie wzory do haftu kolorowego Richelieu, lub do malowania. Pomniejszone.

## TAM, GDZIE WOJNA SIĘ TOCZY

Jeżeli u nas ciężko wskutek kryzysu gospodarczego, to tam, gdzie powódź i wojna jest jeszcze ciężej. Misja SS. Urszulanek w Charbinie w Mandżurji ma szerokie zadanie. Jeden dom przy ul. Tsitsikarskiej pracuje nad Rosjankami, pragnącemi przyjąć katolicyzm. Mnożą się tam nawrócenia. — Drugi, przy ul. Belgijskiej, poświęcony jest dziatwie polskiej. Dzieci małe w wieku przedszkolnym, oraz starsze, które czyto dla braków materjalnych, czy niedostatecznego naukowego przygotowania dostać się nie mogą do polskiego

gimnazjum w Charbinie, garną się do Zakładu SS. Urszulanek — ale niestety, dla braku miejsca i funduszów na utrzymanie i najem lokalu, wiele z nich dostać się tam nie może, dzieci te, to w wielkiej mierze potomkowie naszych bohaterów zsyłanych na Sybir z czasów caratu. — Czyż im dziś polskie dzieci w kraju nie dadzą pomocy?...



Polskie dzieci z Zakładu wychowawczo-naukowego SS. Urszulanek w Charbinie, w Mandżurji.

## Z MISJI W RHODEZJI

Od W. Ks. Konopki T. J. otrzymaliśmy ciekawe wiadomości i obrazki przyrodnicze, któremi dzielimy się z naszymi Czytelnikami.

— Mamy tu mnóstwo owadów m. in. **termitów**, dużych na 2 mm., lub mniejszych. Wciskają się one do mieszkań ludzkich, czyniąc wielkie szkody, więc przy budowie domów kładzie się na fundamenty grubą blachę cynkową w środku żelazną, żeby termity, mieszkające w ziemi nie przegryzły jej. Ale one i tak dadzą sobie radę. Zbudują sobie korytarzyk, który podłogę przebije i jak trawka wyrasta. Jeśli go zaraz nie zniszczysz to po upływie nocy zamiast butów przy łóżku zastaniesz kupę błota. Termity obsiadły buty i kończą je dogryzać, zostawiając tym razem kołki drewniane! — Termity lubią wszystko co zawiera skrobię. Skórki od jabłka i rama okienka to dla nich przysmaki! — Wrogami



N. RHODEZJA. KATONDWE.
Stoi na prawo ks. Drwięga T. J. w otoczeniu kaferskich dzieci. Pierwsza na lewo, siedzi Abina Abwape, która prowadziła korespondencję z Kołem Misyjnem Uczelni im. Dąbrówki w Poznaniu. Abina pisała w języku kaferskim, ks. Drwięga pod każdym wierszem dopisywał tłumaczenie polskie.

termitów są czarne mrówki, wojownicze i zorganizowane. Na podbój domu wysyłają najpierw patrol, za kilka dni kroczy armja. Nie pomoże lanie nafty. Gdy zginą jedne, idą drugie nieprzeliczone. Wracają z łupem — nogą lub skrzydełkiem owada, — środkiem szpaleru utworzonego przez »strażników« ustawionych pyszczkami ku środku drogi. — Gdy chciałem się im przyjrzeć — ruszyły ku mnie. Nie czekałem na atak i usunąłem się dyskretnie.

## PRO CHRISTO REGE.

W dn. 1—3 listopada b. r. odbył się we Lwowie V. Zjazd delegatów Akadem. Kół Misyjnych. Msze św. dla uczestników Zjazdu odprawiali: JE. Ks. Arcybiskup Twardowski, JE. Ks. Arcybiskup Teodorowicz. JE. Ks. biskup Lisowski, kazanie wygłosił ks. Czesnak. Na popołudniowych zebraniach wygłoszono szereg odczytów, jak: ks. Prof. Stacha: »Akcja misyjna koniecznością katolicyzmu«. kol. Wielowicyskiej: »Znaczenie misjologji dla młodzieży akademickiej«, oraz publiczne odczyty o polskich placówkach misyjnych Księży Jezuitów, Bernardynów i Misjonarzy. Ożywione dyskusje, szerokie projekty i rzeczowe wnioski dały dowód zrozumienia wśród młodzieży akademickiej doniosłości udziału inteligencji świeckiej w akcji misyjnej.



Kółko Misyjne im. Błog. Andrzeja Boboli przy gimn. SS. Urszulanek w Kołomyji prace swe i modlitwy ofiarowuje na intencję nawrócenia Rosji. Na obrazku członkinie Kółka wśród eksponatów wystawy misyjnej.

### Ofiary złożone w Redakcji na Misje w Charbinie.

Gimn. im. św. Urszuli w Krakowie: VIII kl. 25 — III kl. 20 zł. Gimn. SS Urszulanek w Tarnowie 12 zł. (za książeczki o Kard. Fryd. Boromeusza).

# DO APELU

— Servus, Iwonko! zadzwonił od proga srebrzysty głos. Siedzisz w tym ślicznym saloniku sama, jak pustelnica! — przepraszam raczej, — mówiąc poetycznym językiem, — jak ptaszę w złotej klatce! No co — złe porównanie? akurat do ciebie zastosowane, moja ty „panienko z księżyca“! — trzepała młoda dziewczyna, istne przeciwieństwo do właścicielki „złotej“ klatki. Żywa, ruchliwa jak iskra, o błyszczących czarnych oczach, uosobienie młodości — pełnej entuzjazmu, skłonnej do czynu.

— Jakiż to dobry genjusz natchnął cię, Iruśko, do odwiedzenia mnie dzisiaj, gdy ja... — „usycham z bólu, umieram z tęsknoty“ — dokończyła Irena wybuchając kaskadą śmiechu. Napewno to chciałaś powiedzieć, ty, chodząca poezjo! duszo wybrana! — deklamowała z patosem dziewczyna, kręcąc się po pokoju.

Zapewne pan Zdziś, twój ideał, kichnął o dwa razy więcej, niż zwykle, — stąd melancholja! Doprawdy ani rusz nie mogę sobie was oboje wyobrazić jako małżeństwo! Zanadto podobne typy!

Gdy go widzę mimowoli przychodzą mi na myśl nieśmiertelne „Śluby panieńskie“: „Czuję wilgoć w powietrzu, fontanna się zbliża“... Ty wzdychasz do księżyca, Zdzisław do ciebie — istna sielanka, coś à la „Laura i Filon“...

— Uspokój się, Irka, i nie pleć, bo jeśli wzdycha... to na daremnie... odcięło się lekko zaróżowione, złotowłose dziewczątko. Skoro ze mną stanowiłby, wskutek podobieństwa typów niedobraną parę — to wolna konkurencja! „Les extrémitées se touchent“ i tworzą zespół — bajeczny — radzę próbować! — żartowała z odrobiną ironji.

— Za taki spadek po tobie — dziękuję uniżenie — odcięła Irena. — Nie byłoby o co kopji kruszyć! Zresztą na razie ogłaszam wakat w sercu, bo tylko matura mi w głowie! Muszę ją mieć — i to dobrą! — potrząsnęła czarną, pełną lśniących loków główką aż jej ta jedwabista grzywa oczy przysłoniła.

— Całkiem chwalebne postanowienie, — oby tylko długotrwałe i skuteczne, — uśmiechając się przekornie wtrąciła Iwonka.

— Wątpisz? — No, zobaczysz! Jestem leń — to prawda, ale wiesz, coś mnie podnieciło teraz i powiedziałam sobie stanowczo: — żeby nie wiem co — maturę muszę zdobyć!

— Cudowna jesteś, Iruśko, z tym zapałem, oczy ci się palą, jakby pochodnie.

Kto, czy co — natchnęło cię do tak genjalnego postanowienia? Tak się często martwiłam myślą o twojej maturze, a przecież musimy ją zdać obie i razem iść w świat! pamiętasz przysięgę? — zaszkliły się łzy w szafirowych, mgłą rozmarzenia przysłoniętych oczach dziewczęcia.

— A wiesz, co mnie pobudziło do tej cnotliwej pracowitości? — Chochliki figlarnej pustoty iskrzyły się w czarnych źrenicach Ireny.

— Pewnie jaki nowy ideał z galerji typów: „ten... albo inny“? zgadywała Iwonka, szczerze zaciekawiona niebywałym zapałem przyjaciółki.

Nic podobnego! zupełnie inna kategorja — nie zgadłabyś nigdy! Oto poprostu do dzisiejszej decyzji pobudziła mnie najpospolitsza... złość!

— Złość? — w najwyższem zdumieniu powtórzyła Iwonka.

No, nie gorsz się tak, moja ty chodząca cnoto, przecież nie każdy jest powołany do wyższej doskonałości... jak pewna osóbka...

— Przestań żartować, Ira i mów porządnie, bo nic nie rozumiem! Siadaj tu koło mnie i mów.

— Ale gdzietam — nie usiedziałabym, bo mnie złość roznosi. Gdy ci

wszystko opowiem, to dopiero wtedy usiądę i będziemy poważnie obmyślać...

— Czy lekarstwo na tę złość? — wesoło wtrąciło dziewczę, przyciągając do siebie przyjaciółkę. — Chodź, siadaj; tak cię lubię z tym ogniem w oczach — zdawałoby się, że iskry niecą...

Młoda dziewczyna siadła machinalnie.

— Więc słuchaj. Wiesz, że niebardzo lubię czytać, zwłaszcza, gdy książka lub pismo noszą tytuł: „dla młodzieży"! Wprost chorobliwie tego nie znoszę; zaraz mi się zdaje, że muszą to być słodko-ckliwe recepty na moralność, przepisy dla „dobrze wychowanych panienek" i t. p., jednem słowem zbiór nudziarstw, w rodzaju „Pamiątka po dobrej matce" — czy coś innego, co w każdym razie trąci „myszką". Jakby na moje nieszczęście u dentysty, na którego musiałam z godzinę czekać, — nie było na stole w poczekalni żadnych nowości z książek czy pism prócz... Dziś i Jutro!

Z rozpaczy i nudów zabrałam się, cicho wzdychając, choć to też pismo dla młodzieży, do przeglądania wrześniowego numeru i tam natrafiłam na coś, co mnie zupełnie wytrąciło z równowagi, wprost zelektryzowało! Oto jakaś archaiczna „Babunia", ośmdziesięcio czy stuletnia pod postacią wspomnień z przeszłości — wypowiada szereg horendalnych zdań pod naszym adresem... Coś niesłychanego! Prawdziwe oburzenie wyglądało z rozognionych oczu mówiącej.

— Ależ nie sądzę — przerwała pojednawczo Iwonka. I ja to czytałam, bo wbrew twoim zasadom, Iruśko, właśnie najchętniej czytam wszystko, co dla młodzieży.

— Wiem... wiem — przerwała z pewnem zniecierpliwieniem Irena. Niestety! nie wszyscy mogą być takim ideałem, jak ty! Ja np. wolałabym się nawet narazić na nie wiem co, byle żyć choćby chwilę z płomieniem w duszy!

— Bo jesteś entuzjastką — wtrąciła nieśmiało Iwonka; łatwo się zapalasz...

— A jeszcze prędzej gaśniesz! — prawda, że to miałaś na myśli, strofując swą przyjaciółkę, Iwonko kochana, nieporównana moralistko! — Ale wracam do rzeczy: otóż stwierdzam z całą pewnością, że ta przedpotopowa babunia poważnie nam ubliżyła, dowodząc, że wszystko co święte, wielkie i wzniosłe, wszelkie ideały — były przywilejem jakoby tylko... dawnego pokolenia! —

— A w takim razie nam co pozostaje? — chyba jedynie — żyć echem tych ideałów, czy co? — Dziękuję!

To znaczy czem młodzież ma się karmić?

Co ma stanowić naszą „duszę" zbiorową, uosobienie, istotę naszej młodości?

„Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!"

To miałoby się stać naszym obrazem? — może: wzorem czy przywilejem? — Przenigdy!

Raczej nie żyć, niż pędzić ślimacze życie bez uniesień, bez szczytnych ukochań!

Zerwała się z miejsca i prostując swą kształtną figurkę z oczami błyszczącemi jak gwiazdy, z chmurą czarnych włosów nad czołem w płomieniach — wyglądała jak Nike zwycięska.

— Przesadzasz, Iruchno, w zapale oratorskim, próbowała perswadować spokojna, zrównoważona Iwonka. Ta archaiczna babunia, jak ją nazywasz, wcale nie miała zamiaru odsądzać nas, młodych od życia dla ideału, — przeciwnie raczej cierpiała, że mało go widzi u nas...

— Otóż to właśnie mnie oburza; ten krańcowy pesymizm w stosunku do nas, ten zwrot do przeszłości, pietyzm dla tradycji, a temsamem jakby zupełne zapoznawanie obecnego wieku, a czy tak jest istotnie? Czy my istotnie żyjemy bez podniosłych haseł?...

Twarzyczka dziewczęcia spoważniała, oczy pobiegły w dal... pełne niedomówionych pytań i słów.

— Wiesz, Iwonko, zaczęła w zamyśleniu. Mnie to boli, że my oczywiście nie przedstawiamy dzisiaj typu takiej młodzieży, co to żyje „górnie"... Ani wielkich ukochań nie mamy w duszy, ani skłonności do ofiar — tych aż do heroizmu, aż do szczytów sięgających...

Uczymy się — bez entuzjazmu, kochamy — bez ognia...

Życie mija nam szybko... ale przyziemnie...

— Iruchno, Iruchno! — przerwała spiesznie Iwonka. Zagalopowałaś się i wpadłaś w krańcowość. Zmieniły się role, widzę: zamiast Babuni — ty melancholizujesz teraz na temat naszych niedoskonałości. Co ci się stało? Zaczynasz wątpić, że stworzymy złote jutro? słoneczną przyszłość? — Ocknij się, Iro, na Boga!

— Nie — nie — nie mogę! Sama nie wiem, co ze mną się stało? Przyszłam tu pełna oburzenia, że nam ktoś stawia zarzuty, a kończę... biernem poddaniem się... Mam bunt w duszy za to i wstręt do samej siebie, bo to małoduszność!

Zerwała się, odrzucając w tył niesforne loki.

— A może to wielkie nieporozumienie? Może tylko starsze pokolenie nas nie rozumie, nie umie do nas się zbliżyć, żyć naszem życiem? — Ciągłe narzekania, że dawniej było lepiej, a przecież porywy szlachetne u nas są, jest nawet zapał i entuzjazm, są wreszcie zasady... Potrafimy wierzyć, kochać i czcić nasze świętości religijne i narodowe, a jednak... czegoś nam brak... właściwego nerwu życia w nas niema..

— Mnie samej chwilami nie starczy szarzyzna codzienna... Gdybym żyła w dawnych wiekach — rozesłałabym wici... nie — raczej sama zwoływałabym ludzi, rozpalała umysły i serca do organizowania się, walki, czynu, byle nie gnuśnieć w nieradnej bezczynności... Niechby stanęli do apelu ludzie mocni i powiedli nas gdzieś... na szczyty...



— Czy my istotnie żyjemy bez podniosłych haseł? —

Bo jednak prawda, że nam czegoś brak... Nawet wówczas po zdobyciu matury, po latach studjów szkolnych, gdy dumnie wkraczamy w świat — samodzielne — nawet i wtedy jesteśmy jakieś... niedokończone...

Czy nie tak, czy tego nie spostrzegasz u starszych koleżanek, Iwonko?

— A wiesz czego nam brak? Według mnie, — zresztą mogę się mylić, — ciągnęła Iwonka wolno, ważąc każde słowo, dużą naszą tj. młodzieży wadą jest... bezmyślność! Mało się zastanawiamy, żyjemy bez planu, z dnia na dzień!

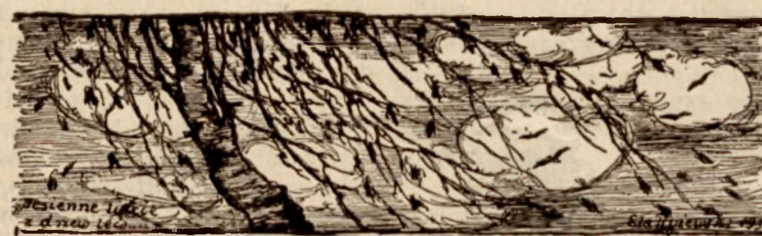
— A to trafiłaś! — odzyskując dawną żywość wybuchnęła Irena. Jeszcze czego! — Miara, waga, cyrkiel... i co jeszcze? — może na dodatek przypieczętować — morałem? — Nie — „nie tędy droga szanowne panie"! — Ja twierdzę zupełnie coś przeciwnego: oto młodzież nie może, nie powinna posiłkować się niczem z tych rzeczy, które ograniczałyby jej wolność, nakładały na nią hamulec...

— Piękne zasady, niema co mówić! zawołała zgorszona Iwonka. Pomyśl Ireno jakie pociągnęłaby za sobą skutki taka metoda!

Nie — ja jednak zostaję przy swojem, że dzisiejszej młodzieży brakuje... myśli przewodniej.

Godzę się z tem, że umie kochać, cierpieć, umie nawet poświęcać się, ale nie umie jednego... zastanawiać się...

*Emjot.*



# *JESIENNY WIECZÓR*

*Jesienny wieczór...*
*cisza wkrąg!*
*pod sennych chmur powłoką*
*z dalekich borów,*
*z szarych łąk*
*srebrzyste mgły się wloką!...*

*Jesienny wieczór!...*
*żaden wiew*
*nie rusza traw*
*nad wodą,*
*tylko w konarach*
*nagich drzew*
*wroniska sejmy wiodą!...*

*Tylko w kapliczce*
*obok tuż*
*ogarek błyska mocą,*
*niby ostatni*
*promień zórz*
*przed nadchodzącą nocą!...*

*Jesienny wieczór!...*
*sen — świat zmógł:*
*przebrzmiały wszystkie echa!...*
— — — — — — — —
*jeno w kapliczce*
*Dobry Bóg*
*przesłodko się uśmiecha!...*

*E. KŁONIECKI.*

# MYŚLI NA CZASIE

Kryzys gospodarczy, który obecnie zapanował na całym świecie da się porównać z rozszalałą burzą. Biją gromy w ośrodki przemysłu, w instytucje finansowe, w siedziby rodów prastarych — w źródła zarobku i kultury duchowej.

Krachy finansowe, licytacje dóbr zwiększają falangi bezrobotnych.

W szkołach i pensjonatach przerzedły szeregi uczennic, bo stosunki materjalne wielu z nich nie pozwalają kończyć studjów.

Taki stan rzeczy nie powinien pozostawić młodzieży naszej w obojętnej bezczynności. Jeżeli starsze społeczeństwo staje dziś zszeregowane, by w myśl nawoływań władz kościelnych i państwowych iść z pomocą zagrożonym nędzą i ubóstwem — to wśród młodzieży należy ożywić pracę w organizacjach szkolnych i wprząc się w obowiązującą dziś wszystkich pracę społeczną.

W szkole nabywa się wiedzę, kształci się charakter, ale aby być całym człowiekiem — trzeba nauczyć się żyć społecznie. Każda organizacja szkolna, czy to religijna, jak Sodalicja Marjańska, czy naukowa, jak Kółko historyczne, lub literackie, czy nawet „Kółko sportowe" — ma na celu wyrobienie członków na przewodników lub szeregowców do przyszłych prac na arenie życia społecznego.

Zamiast jednak rozproszkowywania sił w poszczególnych kółkach i stowarzyszeniach, byłoby wskazanem dziś starać się o współpracę z organizacjami dorosłych, działającemi w danem mieście lub wiosce.

W jednej z naszych szkół sodalicyjna sekcja miłosierdzia złączyła się z istniejącem w mieście Towarzystwem św. Wincentego a Paulo i uczennice tej szkoły razem z Siostrami Miłosierdzia odwiedzają biednych. — W innym zakładzie wychowawczo-naukowym urządzono świetlicę, w której gromadzą się najmłodsze i najbiedniejsze dzieci wracające ze szkół powszechnych, dostają tam obiad, pod opieką uczennic z gimnazjum i seminarjum kolejno obejmujących dyżury, przerabiają lekcje na dzień następny — trochę się bawią wspólnie, a następnie z kromeczką chleba na podwieczorek wracają do domów.

Znamy hojność bogatych dzieci w urządzaniu „Gwiazdki" lub „Święconego" dla dzieci niezamożnych. — W tym roku wzrastająca nędza nie pozwala czekać na dni świąteczne, ale każe energję, czas i drobne ofiary zorganizować na stałą — codziennego dnia — pomoc dla najbiedniejszych. — Czyżby się nie dało n. p. zamiast bezcelowych robótek, poduszek, serwetek itp. zabrać się do szycia odzieży dla biednych?

Wzrokiem pełnym d e l i k a t n o ś c i i współczucia — należy wejrzeć w potrzeby najbliższego otoczenia — a więc koleżanek siedzących na tych samych ławach i im też spieszyć z pomocą.

Czasy dzisiejsze wymagają rozszerzenia znanych nam obowiązków co do ciała i duszy bliźniego przez dodanie nowego: „Wywołać uśmiech zadowolenia", „kwotę przeznaczoną na rozrywkę oddać tym, którym koniecznego zabraknie", „Powstrzymać słowo rozgoryczenia na ustach bezrobotnego".

W książce: „Jeden z bohaterów doby obecnej, Marycy Ruvil", czytamy takie słowa: „Starajmy się siać szczęście w koło nas, aby nasza wielka miłość nie stała się egoistyczną"...

Starajmy się wyszukiwać sposoby zdziałania czegoś dobrego, wynajdujmy, co jeszcze byłoby do zrobienia... Wszak jesteśmy odpowiedzialni za dobro, którego nie wypełnimy...

**Korzystając z uprzejmości redakcji pragnę zawiązać z Czytelnikami „Dziś i Jutro" korespondencję na poruszone wyżej tematy. Umieszczać ją będziemy w niniejszem piśmie w rubryce: „Myśli na czasie".**

*Zofja Zakrzewska.*

# O CZEM WIEDZIEĆ WARTO

**Aleksander Skrzyński,** jeden z najwybitniejszych mężów stanu odrodzonej Polski, padł ofiarą katastrofy automobilowej. Cała Polska odczuła boleśnie zgon jego, jako śmierć czystego i światłego obywatela o dużych zasługach w pracy nad utrwaleniem praworządności i pokoju — we własnej Ojczyźnie i na terenie międzynarodowym.

**Pomnik Jana Kochanowskiego w Lublinie.** Dnia 27. IX. w Lublinie przed gmachem trybunału odsłonięto uroczyście pomnik wielkiego naszego poety w. XVI-go. — Jana Kochanowskiego.

**Zapomniane grobowce królewskie w Wilnie.** W podziemiach bazyliki wileńskiej, w krypcie nieotwieranej od XVII stulecia znaleziono zwłoki króla Aleksandra Jagiellończyka oraz 2 królowych: Elżbiety i Barbary. Znajdowały się tam również 2 korony i berło królewskie.

**Przedziwna jest logika życia gospodarczego.** Tyle krajów na całej kuli ziemskiej przeżywa dziś kryzys ekonomiczny, skazujący tysiące i miljony ludzi na bezrobocie, głód i zimno, — a jednocześnie „ze względów gospodarczych" niszczy się ogromne zapasy, które mogłyby — do pewnego stopnia przynajmniej — zapobiec ludzkiej nędzy. W Ameryce Północnej niszczy się miljony centnarów zboża i pali miljony bali bawełny, ażeby podnieść cenę pozostałego surowca. — W Brazylji z polecenia rządu zniszczono w tym samym celu 1.250.000 worków kawy po 130 funtów każdy. A przecież tyle miljonów rąk wyciągnęłoby ręce po te zapasy.

**Polska wobec kryzysu angielskiego.** Od dłuższego już czasu żyjemy pod znakiem „kryzysu". Nie każdy zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, na czem właściwie ów „kryzys" polega, ale wszyscy dotkliwie odczuwają jego skutki. Kryzys opanowywał małe państewka i wielkie państwa, ale teraz dotknął najpotężniejsze mocarstwa. Coraz to dochodzą nas wieści o ciężkiej sytuacji w Niemczech, o bezrobociu w Stanach Zjednoczonych — a ostatnie tygodnie przyniosły wiadomość o groźnem zachwianiu się najpotężniejszej jednostki gospodarczo-finansowej — Anglji. Niewzruszony dotychczas funt sterling traci na wartości, spada w kursie o 20%. Anglja jest zmuszona zamknąć giełdy, zaprzestać wymiany swoich banknotów na złoto. Zaniepokojenie odczuwa się we wszystkich państwach europejskich, gospodarczo czy finansowo z Anglją związanych. Zamykają się giełdy w Berlinie, w Kopenhadze, w Antwerpji, w Norwegji, w Szwajcarji. Cała prawie Europa z niepokojem śledzi bieg wypadków. Tylko Francja spokojnie obserwuje sytuację — i tylko Polska obok Czech, Jugosławji i Rumunji — nie odczuwa skutków katastrofy angielskiej. Niestety powodem tego stanowiska Polski nie jest jej potęga. Poprostu miała szczęście czy nieszczęście nie otrzymać w swoim czasie całego szeregu pożyczek, o które się starała, a które związałyby się ściśle z bankami zagranicznemi a także nie zdołała zawrzeć wielu konwencyj, ustalających jej rozleglejsze stosunki gospodarcze z innemi państwami Wskutek tego Polska skazana na większą od innych państw samowystarczalność dziś stoi poza nawiasem spraw związanych z kryzysem angielskim i tem samem jest w dużej mierze zabezpieczona przed ewentualnemi groźnemi następstwami katastrofy angielskiej.

**Bunt marynarzy angielskich** z powodu zamierzonej przez rząd obniżki ich płacy został zlikwidowany na drodze cofnięcia projektu rządowego.

**24-godzinna rewolucja w Austrji.** W Austrji stronnictwo nacjonalistyczne Heimwehry zorganizowało rewolucję, dążąc do obalenia rządu wiedeńskiego. Jednakowoż dzięki szybkiej i energicznej interwecji Wiednia w ciągu 24 godzin rewolucję stłumiono i przywrócono spokój.

**Wojna japońsko-chińska.** W okresie największego osłabienia olbrzymiego państwa chińskiego wskutek długotrwałych zamieszek wewnętrznych po obaleniu systemu monarchistycznego, w okresie wyczerpania po groźnej katastrofie powodzi, która zmusiła rząd chiński do zajęcia się kilkudziesięciu miljonami ludzi pozbawionych środków do życia, — w tym okresie staje przed Chinami jeszcze jedno wielkie niebezpieczeństwo. Wielkie i naprawdę niepokojące dla kolosa chińskiego, choć wyszło

z pełnego poezji kraju rycerzy-samurajów z kraju „kwitnącej wiśni”, opromienionego w naszej fantazji zawsze pełnią słońca i pogody. Korzystając z pierwszego nadarzającego się pretekstu mieszkańcy papierowych domków japońskich opuścili kraj swój tonący w słońcu i kwiatach — i stanęli gotowi do walki. Bo życie to nie poezja, a prawdziwa Japonja — to nie pastelowy drzeworyt mistrza Hokusai'a. Powierzchnia wszystkich wysp japońskich razem jest mniejsza od powierzchni państwa polskiego, a zamieszkują je 64 miljony ludności, która nie zawsze znajdując w kraju warunki do walki o byt, szuka sobie nowych terenów. Nic dziwnego, że wzrok zwrócili Japończycy na bogatą Mandżurję, z którą graniczą poprzez Koreę. Wszakże Mandżurja to dla nich ziemia obiecana. Węgiel, ropa naftowa, wszelkiego rodzaju rudy mineralne — od żelaza do srebra i złota — czekają na eksploatację. Cóż dziwnego, że sięgnęli po nie mieszkańcy drobnych wysp japońskich. Najpierw. zagarnęli kolej, — teraz kraj cały, a przynajmniej południową jego część chcą zagarnąć. Przygotowali się do wojny zawczasu, toteż wkrótce zajęli wszystkie pograniczne punkty lądowe i morskie. Zaskoczone tem Chiny zwracają się o interwencję do Ligi Narodów. Lecz Europa zajęta jest swojemi sprawami wewnętrznemi, a Chiny same zbyt osłabione, by mogły opór skuteczny stawić. Toteż Japonja odważnie występuje przeciw kolosowi chińskiemu, nie licząc się z ewentualnością wciągnięcia do walki paruset miljonów ludzi. Zastanowi ją jednak może wystąpienie Rosji i Stanów Zjednoczonych, którym wcale się nie podoba rosnąca potęga państwa japońskiego.



Posąg Św. Karola Boromeusza w Arone, nad Lago Maggiore.

**Groźne orkany w Ameryce i Europie.** W ubiegłym miesiącu nad angielską kolonją Honduras w Ameryce środkowej przeszedł groźny orkan o niesłychanej sile, wskutek której w przeciągu kilkunastu sekund runęło około 10 tysięcy domów (mniej więcej 75% ogólnej liczby) w mieście Belisze, przyczem zginęło około 1.200 ludzi, a 1.000 odniosło ciężkie rany. Orkan ten idący z zachodu zniszczył poprzednio również w znacznym stopniu miasto San Juan w Portorico.

Orkany szalały również w Europie na Węgrzech i w Jugosławji, wyrządzając tam poważne szkody.

**W Mezopotamji** panuje cholera pociągająca setki ofiar.

**Jedna z największych katastrof kolejowych** w ostatnich czasach. W okolicach Budapesztu w miejscowości Biatorbagy dokonano zamachu na pociąg międzynarodowy. Wskutek eksplozji podłożonej na torze machiny piekielnej nastąpiła mrożąca krew w żyłach katastrofa. Lokomotywa z 6-ciu wagonami spadła z mostu w 28-metrową przepaść, powodującą śmierć 25 osób i ciężkie obrażenia wielu rannych. Jest to jedna z największych katastrof kolejowych w ostatnich czasach.

**Międzynarodowe zawody lotnicze w Anglji.** Żyjemy w okresie rekordów we wszystkich dziedzinach życia. Terenem z natury swej najodpowiedniejszym do zawodów jest sport, a wśród rozmaitych jego postaci — lotnictwo. Niestety, zawody te połączone są zawsze z dużem niebezpieczeństwem. Do wielkich zawodów międzynarodowych w Anglji w ub. miesiącu o t. zw. „puhar Schneidra” stanęli tylko zawodnicy angielscy. Zwycięzcą został Brothman, osiągając szybkość 547,5 km. na godzinę, co oczywiście jest wynikiem skromnym wobec osiągniętych w czasie lotów próbnych 724 km. godz. i 730 km. godz. Jednak podczas owych próbnych lotów doszło do całego szeregu katastrof, w których zginęło 3 wybitnych lotników włoskich, 2 francuskich i jeden angielski. Katastrofy te przyczyniły się do wycofania się Włoch i Francji z udziału w zawodach. Wiele groźnych katastrof zdarza się też często w czasie wyścigów samochodowych. Mimo to zawsze znajdują się odważni

sportsmeni, stający do zawodów. Widocznie obawa śmierci jest niczem wobec ambicji i żądzy sławy.

**Powrót łodzi podwodnej kapitana Wilkinsa.** Łódź podwodna kapitana Wilkinsa, zamierzającego odbyć podróż pod lodami bieguna, uszkodzona wśród licznych przygód w okolicach podbiegunowych, powróciła szczęśliwie.

**Śnieg w górach.** Miłą niespodziankę sprawił zwolennikom sportu narciarskiego tegoroczny wrzesień. Oto już z końcem tego miesiąca spadły w górach znaczne opady śnieżne, okrywając grubą warstwą nietylko szczyty Tatr i Karpat, ale i wyższe partje Beskidów i Podhala. Warstwa śniegu w górach dosięgła 2 m. grubości, umożliwiając oczywiście w zupełności wycieczki narciarskie a nawet zachęcając do organizowania pierwszych w tym sezonie zawodów narciarskich w pierwszą niedzielę października. Zresztą nietylko w Polsce sezon narciarski już się rozpoczął. Podobne wiadomości doniosła prasa wiedeńska, informując o otwarciu sezonu na płaskowyżu Raxu już z końcem września, — zaznaczając, że jest to objaw zgoła niezwykły w dziejach turystyki miejscowej.

Narciarze jednak są jednymi bodaj ludźmi zadowolonymi z tego kaprysu pogody. Śniegi bowiem wyrządziły znaczne szkody n. p. na naszym Śląsku, w Beskidzie zachodnim niszcząc las na stokach i sady u podnóży gór i przyczyniły się do zwiększenia rozmiarów katastrofy powodzi. W związku z opadami śnieżnemi pozostaje znaczne obniżenie temperatury u nas, w Tatrach i na zachodzie Europy. W najcieplejszych okolicach Riviery włoskiej notowano w październiku obniżenie temperatury do —5.

**Klęska powodzi.** W związku z obfitemi opadami atmosferycznemi niektóre okolice Polski nawiedziła groźna powódź. Poważnie ucierpiała zachodnia Małopolska. Rzeki zagroziły też Wileńszczyźnie i woj. nowogrodzkiemu.

**Najwyższy w Europie** posąg przedstawia Św. Karola Boromeusza, kardynała i arcybiskupa Medjolanu, wzniesiony przez jego bratanka kardynała Fryderyka, 1624 r. w Arone nad Lago Maggiore. Wysokość posągu 35 m. Wewnątrz przechadzają się liczni goście, oczywiście od zewnątrz niewidoczni.

---

**Dyrekcja miejska** Muzeum Przemysłowego ogłosiła konkurs na najciekawsze i najładniejsze zdjęcia, przedstawiające fragmenty Krakowa. Warto zainteresować się tym konkursem. Za najlepsze zdjęcia przeznaczono nagrody pieniężne i dyplomy uznania. Rozpatrywane będą tylko serje zdjęć, złożone conajmniej z 6-ciu sztuk w formacie minimum 6×9. Autorami zdjęć mogą być poszczególne osoby albo też grupy — np. szkolne kółka fotograficzne. Termin nadsyłania zdjęć — 1-go grudnia b. r. Bliższe szczegóły w Dyrekcji Miejsk. Muzeum Przemysłowego w Krakowie ul. Smoleńska.

---

# Ś. P. ARTUR OPPMAN

5 listopada b. r. zmarł „pieśniarz Warszawy", Artur Oppman, znany pod pseudonimem Or-Ot'a.

Ukochał Warszawę głęboko. „Fenomonalne historyczne i archeologiczne znawstwo przeszłości warszawskiej łączyło się w nim z wzruszającem umiłowaniem każdego starego kamienia, każdego zaułka, każdej linji architektonicznej i całej moralnej treści, którą przeszłość Warszawy przekazała". Żyjąc duchem z bohaterami przeszłości, rozpamiętując ich wielkość i siłę szukał dla siebie i swych rodaków pokrzepienia i mocy w wytrwałem dążeniu do lepszego jutra. W dniach najcięższego ucisku wierzył, że zmartwychwstanie bliskie i wiarę tę wpajał w drugich. „Laudator warszawskich warsztatów rękodzielniczych" i żołnierz — mieszczaństwu, żołnierstwu i dzieciom poświęcał swe pióro.

Zaczął pisać w 16 roku życia i pisał dużo. Któż nie zna jego „Szopki polskiej", Zaczarowanej Królewny". Legend Warszawskich", nieprzeliczonych baśni i pieśni?

Był redaktorem „Wędrowca", „Tygodnika Ilustrowanego" i „Żołnierza polskiego". Ze zbiorów jego poezyj do najważniejszych należą: „Poezje" (wyd. 1888 r.), „Stare Miasto" (1892 r.). „Wiosenne Kwiecie" (1896 r.) „Wybór poezji" (1900 r.). W 1925 r. wyszło zbiorowe wydanie jego utworów.

(O Or-Ocie pisali: A Brückner: „Dzieje literatury polskiej" T. II, W. Feldmann; „Współczesna literatura polska" T. II, — Polskie książki dla młodzieży — Kraków 1931., A. Grzymała — Siedlecki w Kurjerze Warszawskim N. 303, b. r.)

## PYTANIA I ODPOWIEDZI.

*Stawiamy poniżej szereg pytań i prosimy o odpowiedzi, na jedno z nich lub kilka — odpowiedzi opatrzonych pseudonimem lub pełnem nazwiskiem, oraz liczbą, odpowiadającą numeracji pytań.*

*Prosimy również o stawianie dalszych pytań z różnych dziedzin nauki i życia. Odpowiedzi na nie podamy w następnym numerze wraz z odpowiedziami Czytelniczek na umieszczone dziś pytania. Termin nadsyłania pytań i odpowiedzi 25 XI 1931.*

*Pytanie 1.* Co to jest szczęście?

*Pytanie 2.* Co jest środkiem niezawodnym wiodącym do uszlachetnienia duszy?

*Pytanie 3.* Jaką powinna być przyjaźń?

*Pytanie 4.* Którą ze sztuk pięknych lubię najbardziej i dlaczego?

*Pytanie 5.* Dlaczego człowiekowi tak trudno walczyć ze swoją naturą?

*Pytanie 6.* Czego jest więcej na świecie: kłamstwa, czy prawdy?

*Pytanie 7.* Która z postaci niewieścich w Kościele, historjt, lub literaturze najbardziej mnie pociąga i dlaczego?

*Pytanie 8.* Dlaczego każą zwalczać egoizm, kiedy to taka wygodna rzecz?

*Pytanie 9.* Które miejsce zajmuje miłość w życiu uczennicy?

*Pytanie 10.* Kiedy mi włosy „dęba" stają?



Nowy gmach gimnazjum im. św. Urszuli w Krakowie. Uroczystość poświęcenia odbyła się 24-go paźdz. b. r. przy udziale licznie zebranych gości. J. E. Książę Metropolita Sapieha i J. M. Rektor Uniw. Jagiel. Ks. Dr. Michalski wygłosili podniosłe i głębokie przemówienia.

**Najnowsze wydawnictwa.**

*Bajerowicz Kazimierz ks.: „Orzeczenia papieskie dotyczące dzieł misyjnych"*. (Poznań 1931. Nakł. Rady Kraj. Pap. Dz. R. Wiary. Str. 208). Jest to jedna z tych książek, które poznać powinien każdy zajmujący się sprawami misyjnemi. Ułożona jasno i przejrzyście podaje w I-ej części encykliklikę „Maximum illud" papieża Benedykta XV., Motu Proprio „Romanorum Pontificum", encyklikę: „Rerum Ecclesiae Gestarum" i inne pisma Ojca św. Piusa XI. — W II-ej części mamy wyjaśnienia odnoszące się do papieskich dzieł: „Rozkrzewienia Wiary", „Św. Dziecięctwa P. Jezusa" i „Św. Piotra Apostoła". W III-ej części jest mowa o innych dziełach i związkach misyjnych jak o Sodalicji Piotra Klawera, Związku Misyjnym Polek itd. Kończy książkę wykaz zakonów poświęcających się pracy misyjnej i wykaz dzieł i dziełek o misjach.

*Łoś Stefan: „Strażnica"*. (Lwów 1931. Książnica-Atlas. Str. 168). Powieść, pełna harcerskiej werwy, humoru i przykładów bezgranicznego poświęcenia się dla spraw ojczystych, przedstawia przygody garstki zuchów, broniących polskiej granicy przed dywersyjnemi bandami bolszewików. Wartkie tempo akcji i szczerość uczucia, to zalety tej książki, którą warto czytać, nabyć i do czytania dawać.

*Makarczyk Janusz: „Przez morza i dżungle"*. (Lwów 1931. Książnica-Atlas. Str. 232). Podróż trochę włóczęgowska z Polski przez Amerykę Północną do Brazylji daje bohaterom opowiadania sposobność umocnienia się w przekonaniu, że „dość już marnowania sił naszej emigracji, czas już zająć się z całego serca stworzeniem węzłów ekonomicznych Polski z wychodźtwem" i dążyć do tego, by choć skrawek tropikalnej ziemi stał się suwerenną kolonją Państwa Polskiego. — „Tej idei warto poświęcić życie" — mówi autor, a my dodamy, że warto przeczytać książkę, która z tą ideą zaznajamia.

# Z TEKI SZKOLNEJ

## W PAMIĘTNIKU

*Choć geometrja nic Cię nie nęci*
*I nad algebrą wzdychasz nieboże —*
*Jednakże zawsze miej to w pamięci,*
*Że ci to w życiu przydać się może!*

*Kiedyś po latach w gronie rodziny,*
*Dobrą proporcję mając na względzie,*
*Ilość migdałów do leguminy*
*Logarytmami obliczać będziesz.*

*Że w tej nauce jest trochę racji*
*O tem się sama łatwo przekonasz,*
*Kiedy potrzebne Ci do kolacji*
*Jajka obliczysz wzorem Herona.*

*Dyskusją futro zdobędziesz nowe,*
*Ciągiem z kucharką zrobisz rachunek,*
*W rozmowie, w tańcu, w sali balowej,*
*Matematyką zyskasz szacunek.*

*A gdy ci w lecie z mężem i dziatwą*
*Gdzieś na wakacje jechać wypadnie —*
*Z równania z deltą dowiesz się łatwo,*
*Gdzie będzie tanio, zdrowo i ładnie!*

„MARYSIA".

## ODA DO BRYKA

*Poniewierany przez ród profesorów mściwy,*
*Przedmiocie dochodzenia — podejrzeń złośliwych,*
*Zadań szkolnych nadziejo, leniów powierniku...*
*W uznaniu Twoich zasług — hołd ci składam, Bryku!*

*Obdarty, brudnostrzępny, dzierżon w drżącej ręce,*
*Tyś wiernym towarzyszem w lat szkolnych udręce!*
*Ukryty pod pończochą, schowany w słowniku*
*Iluś zadań autorem, zapoznany Bryku!*

*Ciebie czci każdy osioł z należnym szacunkiem,*
*Tyś w klasówce łacińskiej jedynym ratunkiem...*
*Więc choć profesorowie złorzeczą Ci wszędzie —*
*My dla Cię wdzięczność, miłość — zawsze chować będziem!*

„MARYSIA".

## HYMN PONURY O FIZYCE

*O ty nauko mądrego Kolumba,*
*Röntgena, Gaussa, Volty i Ampera,*
*Jako orkanu nadpowietrzna trąba*
*Ty w naszej klasie krwawe żniwo zbierasz,*
*Bo przez tajemne rozkazanie Boże*
*Nikt jakoś ciebie zrozumieć nie może!*
*Napróżno Hela na pauzach tłumaczy,*
*Napróżno Janka zeszytu pożycza —*
*Co poniedziałek ku naszej rozpaczy,*
*Straszne nam jawią się »dwói« oblicza! —*
*Co poniedziałek, łez gorących rzeka*
*Z pod powiek ofiar nieszczęsnych wycieka...*

*Choć pan profesor co lekcję powtarza*
*Poprzedni wykład — choć kujem od rana,*
*To jednak bardzo nieczęsto się zdarza,*
*Aby choć trochę umiała pytana!*
*I oprócz kilku naczelnych szermierzy,*
*Większości słusznie się »dwója« należy.*
*Co lekcję słyszeć można takie rzeczy,*
*Że kondensator — a motor — to jedno;*
*Że Maxwell prawa przepisał dla cieczy —*
*I że promienie katodowe bledną,*
*Gdy zastosujesz do wahadła wzoru*
*Zasady: Siły — szybkości — koloru.*

*Reguła Lentza daje opis krótki*
*Prawa ciśnienia dla kotłów parowych —*
*Doświadczeń Hertza i Herona skutki*
*Widzimy codzień na lampach naftowych,*
*A wzorem Boyle'a obliczyć możemy*
*Całą odległość księżyca od ziemi.*

*Cewka Ruhmkorffa — potwora złośliwa*
*Samą już nazwą każdego odstrasza —*
*Na Faraday'a głowę nieszczęśliwą*
*Spadają klątwy, łzy i rozpacz nasza!*
*(Biedny nieboszczyk przewraca się w grobie*
*Ilekroć słyszy ten nasz sąd o sobie).*

*Zbyt wielka mądrość to na nasze głowy*
*Wiedzieć jak piorun wylatuje z chmury,*
*Jak się aparat buduje radjowy...*
*A więc niezmiennie — do samej matury,*
*Co poniedziałek łez gorących struga*
*Spłynie nam z oczu gorzka, słona, długa..*

*„MARYSIA“.*

# USTRÓJ W III KLASIE

Mam zamiar napisać dziś artykuł do druku. Jestem przejęta ważnością zadania, bo choć miesięcznik, do którego chcę pisać to nie angielski „Times“, który wychodzi dziennie w trzech miljonach egzemplarzy, ani nawet „Kurjerek“. równie potrzebny każdemu do śniadania, jak bułeczka z masłem, to jednak jest to pismo drukowane, a ja „dziennikarka“, bo piszę artykuł do gazety! Uczono mnie, że każdy początek jest skromny i trudny. Że trudny, stwierdzam sama, że skromny, stwierdzą ci, którzy czytać będą. Czytałam gdzieś, że pióro jest bronią równie straszną jak miecz i, że świat zawojować można równie dobrze piórem jak mieczem. Gdyby kiedyś istotnie okazało się, że mam zdolności dziennikarskie, to bardzo chętnie uprawiałabym ten zawód, szczególnie pragnęłabym uzyskiwać wywiady u mądrych ludzi i publikować je dla korzyści społeczeństwa...

Tymczasem napiszę o ustroju naszej klasy.

Klasa nasza w tym roku dzieli się na dwa oddziały: III A i III B. Zwą się one: Korona i Litwa. Najwyższe miejsce zajmuje nasza Wychowawczyni. Została ona Najjaśniejszym Królem Polski i Wielkim Księciem Litwy.

Pierwsze miejsce po królu zajmują marszałkowie wielcy: koronny i litewski. Oznaką ich jest biało-czerwona rozeta. Marszałkowie pilnują ładu i porządku w klasie w czasie nieobecności Wychowawczyni. Sądów marszałkowskich nie miewamy, bo zadaniem marszałka jest przedewszystkiem utrzymywanie harmonji wspólnego życia w klasie.

Zadaniem wielkiego kanclerza jest utrzymywanie stosunków między klasą, a kancelarją Dyrekcji. Biega on tam z prośbą o pieczęć na legitymacje i z wiadomością, że już jest po dzwonku, a uczący dotąd nie przybył. Dla zjednywania sobie szacunku nosi on wielką rozetę z czerwonej wstążki. W razie nieobecności zastępuje go podkanclerzy z małą czerwoną rozetą.

Wojski z liljową rozetą pilnuje drzwi, zamyka je za wchodzącym uczącym i grzecznie wyrzuca z klasy maruderów podczas pauzy.

Podkomorzy wielki, szczycący się wielką różową rozetą, wraz z podkomorzym nadwornym, zadowalającym się małą różową rozetą, pilnują porządku w klasie i przynoszą bryły na geometrję.

Sekretarz wielki (wielka biała rozeta) wraz z sekretarzem nadwornym (mała biała rozeta) piszą kronikę klasową, z której się zawsze na pogadance zaśmiewamy.

Referendarz wielki, ze wspaniałym, pomarańczowego koloru orderem, zgłasza nieobecne i usprawiedliwia nieprzygotowane. Z powodu ważności urzędu ma on zastępcę w osobie podreferendarza (mała pomarańczowa rozeta).

Mamy też swoją komorę celną, zaznaczoną żółtym kolorem. Konfiskuje ona wszystko, co jest zagranicznego pochodzenia. Słusznie! Powinniśmy solidaryzować się z Jego Królewską Mością, popierać polski przemysł, wzbogacić przez to Polskę, by dorosła do poziomu wielkich państw zachod-

nich. Co dokazali Francuzi, Anglicy, Amerykanie i my dokazać możemy!

Podskarbi wielki zarządza kapitałem klasy, zbiera oszczędności od dziewczynek i oddaje do P. K. O. Ma on w tem duże doświadczenie, bo dostał już nagrodę od tej instytucji. Dla dodania sobie powagi nosi odznakę koloru drap.

Mamy w klasie i Komisję Edukacyjną, składającą się z trzech wydziałów: naukowego, rozrywkowego i wychowania fizycznego.

Oznaką wydziału naukowego jest kolor ciemnozielony. Praca jego rozpocznie się dopiero po pierwszej wywiadówce. Dział wychowania fizycznego, zaszczycony seledynowym kolorem zajmuje się gimnastyką podczas lekcyj, otwieraniem okien podczas pauz. Dział rozrywkowy ma dwóch urzędników. Jeden jest zawsze pełen pomysłów, niezawsze nadających się do wykonania, ale zawsze bardzo wesołych, drugi poważny, mitygujący jego zapędy. Obaj zostali udekorowani rozetami koloru zielonego, pięknie tonowanego

Na pogadance Wychowawczyni wytłómaczyła nam, że ten samorząd nie powinien być dla nas jedynie zabawką. Mając smutny przykład naszych przodków, powinniśmy przezwyciężać narodowe wady niekarności i samowoli, a przyuczać się do rozumnego posłuszeństwa i uległości.

No dobrnęłam wreszcie do końca. Ale z dziennikarstwa rezygnuję.

Dało mi się we znaki.

*Marja Rosińska, ucz. kl. III B.*



Wzór haftu kaszubskiego kolory: liście zielone kwiaty blado niebieskie i granatowe, pączki czerwone i żółte. Liście i kwiaty obwiedzione linją czarną.

## Pod sztandarem radości.

W jaki sposób możemy posiąść tę jasną cudowną radość, by ją niby gońca Chrystusowego nieść wszystkim, zawsze i wszędzie?

To nie jest trudno. — Wystarczy żyć z Chrystusem, wystarczy zrozumieć swój cel, starać się o uśmiech na zawsze — i radość przyjdzie sama, przyniesie dużo kwiatów, — i powie „idź! — te uśmiechy-kwiaty rzuć innym!"

A komu i gdzie? — Wszędzie. W domu, w szkole, na ulicy. Wystarczy wejść do tramwaju pełnego smutnych, zdenerwowanych ludzi, z uśmiechem ustąpić miejsca biednej matce, z zapłakanym bobasem na ręku, — wystarczy jasnym głoem poprosić konduktora o bilet — a rozjaśnione twarze będą podziękowaniem cudownem.

A na ulicy?

Niesiesz bukiet bzu, czy nasturcyj. Na murku pod bramą — siedzi i robi pończochę starowinka dozorcowa willi i zabawia małego wnuczka.

Wystarczy zapytać się o tę małą jej pociechę, — i dać trochę kwiatów staruszce — niby nic a dla niej pociecha, dla niej radość — postawić w ciemnym pokoiku suteren wiązkę nasturcyj.

A w domu? Tysiące drobnych usług, a gdy horyzont gospodarczy zaciemnia się, otwierają się nowe drogi, nowe cele: pomoc materjalna — zbieranie flaszek, skórek, marek itd. — pocerowanie „starośhi", wyczyszczenie starych sukien — to bogaty materjał - a są jeszcze tysiące innych sposobów ratowania bezrobotnych pogrążonych w rozpaczy ludzi.

„Bo coście uczynili jednemu z maluczkich — Mnieście uczynili" *J. Ihnatowicz V. kl.*

# ŁAMIGŁÓWKI

## ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA

Z podanych zdań wybrać wyrazy, z których złożyć znane przysłowia:

I.

Kto za mało się wczoraj uczył, ze strachem dziś idzie do szkoły. Już całe rano ma przez to zepsute. Jak profesor wywoła, wstaje z biciem serca. Zaradzić temu nie można, że się człowiek czerwieni. Pan profesor zadaje pytanie. Lecz Bóg leniów nie wspomaga. Skutek taki, że profesor daje dwóję i jest wstyd i przykrość.

II.

Niedaleko domu jest sad. Gdy deszcz pada siedzę w oknie i spoglądam na drzewa owocowe. Wiatr szumi, gnie gałęzie drzew, strąci czasem jabłko lub gruszkę. Błyszczą one od deszczu, jak polakierowane. Wicher szarpie gałęzie starych grusz i jabłoni, lecą smutno zżółkłe liście.

III.

Nim zapadł wieczór wybrała się Zosia w pole. Słońce zaszło już za las. Zosia pomyślała, że noc nadchodzi, że rychło zejdzie księżyc. Chłód ją ogarnął, rosa przejmowała wilgocią. Oczy jej wpatrywały się niespokojnie w las, skąd dochodził jakiś dziwny głos. „Ach, to pewno wilk wyje" — pomyślała z trwogą dziewczynka.

## TREŚĆ Nr. 2 i 3:



## ŁAMIGŁÓWKA

Z niżej podanych sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą pseudonim znanego powieściopisarza:

Sylaby: graf, a, mut, sta, na, ur, ma, ryn, y, york, ze, sus, fir, cha, wsią, ta, he, cy, za, zja, graf, re, ro, zja, yacht.

Znaczenie wyrazów:

1. Olbrzymie zwierzę przedpotopowe. 2. Powieść Orzeszkowej. 3. Jeden z bohaterów powieści Sienkiewicza. 4. Utwór Rodziewiczówny. 5. Samogłoska. 6. Powieść Kraszewskiego. 7. Nazwa przylądku. 8 Łagodny wietrzyk. 9. Lekki statek z żaglami. 10. Zobowiązanie piśmienne własnoręczne. 11. Odstąpienie od dogmatów religijnych.

## LOGOGRYF

+ × × × × Stołek
+ × × × × Wielkie morze
+ × × × × Inaczej chorągiew
+ × × × × Niewola u Tatarów
+ × × × × Twórca, pisarz
+ × × × × Część Mszy św.
+ × × × × Huragan
+ × × × × Poważnie, naprawdę
+ × × × × Posiedzenie
+ × × × × Materja jedwabna
+ × × × × Owoc
+ × × × × Tytuł monarchy w Persji
+ × × × × W drukarstwie składacz czcionek
+ × × × × Instrument muzyczny
+ × × × × Imię żeńskie
+ × × × × Uwolnienie na pewien czas od pracy
+ × × × × Nakrycie żałobne trumny
+ × × × × Naszyjnik
+ × × × × Miejsce w cyrku

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko współczesnej powieściopisarki.



**WARUNKI PRENUMERATY:**

Prenumerata roczna = 8 zł.

Cena numeru podwójnego Nr 2 i Nr 3 = 120 gr.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

*Julja Felicja Bronikowska.*

**Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.**

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.